

MIEDZIORYSY

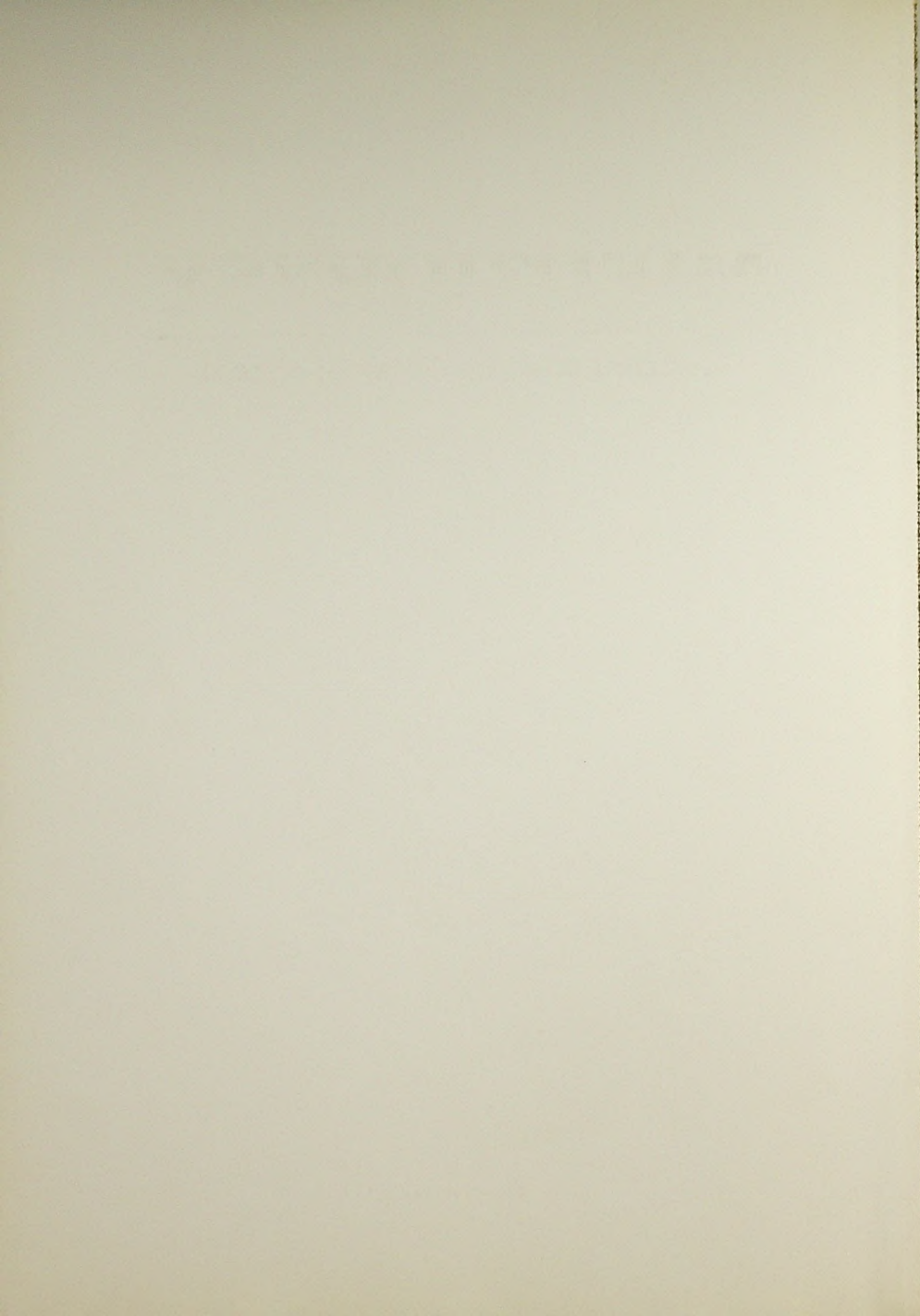
Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik nr 1/2013
Egzemplarz bezpłatny

KGHM Polska Miedź S.A.



*f*undacja
POLSKA MIEDŹ



MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Miedziorysy. Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi
kwartalnik wydawany przez Fundację Polska Miedź
w ramach Społecznej Odpowiedzialności Biznesu (CSR)
KGHM Polska Miedź S.A.

Wydawca

Fundacja Polska Miedź
ul. Skłodowskiej-Curie 48, 59-301 Lubin
tel. 767478873, fax. 767478507
e-mail: fundacja.fpm2@kgbm.pl
www.kgbm.pl (patrz zakładka Fundacja Polska Miedź)

Redakcja

Maria Kuncaitis, Jadwiga Wardach, Zbigniew Szarmach

Redaktor Naczelny

Krzysztof Kulacz

Sekretarz redakcji

Natalia Ossowska-Czekajto

Foto

Zbiory redakcyjne, zbiory prywatne redaktorów
wspomnień oraz Jana Paździory

Druk

Miedziowe Centrum Kształcenia Kadr Sp. z o.o. w Lubinie
Nakład 5.000 egzemplarzy

WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Oddajemy w ręce czytelników pierwszy zbiór wspomnień „Miedziorysy. Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi”. Chcemy tym samym utrwalać zbiorową pamięć o naszym regionie. Wydawnictwo to wpisuje się w nurt działań związanych ze społeczną odpowiedzialnością biznesu (CSR), które KGHM Polska Miedź S.A. podejmuje od początków swego istnienia. Działania te wyrażają się między innymi dbałością o region, lokalne społeczeństwo i jego kulturową tożsamość.

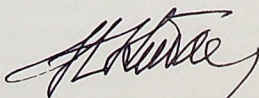
Zagłębie Miedziowe, region o ponad 50-letniej historii górnictwa rud miedzi i hutnictwa, doczekało się wielu naukowych opracowań oraz wydawnictw o charakterze kronikarskim i dokumentacyjnym. Jednak w tego typu publikacjach, pełnych dat, faktów i wszelkiego rodzaju statystyk, zazwyczaj pozostaje niewiele miejsca na przybliżanie losów ludzi, którzy ten przemysł budowali. Czas, by tę lukę wypełnić.

Kwartalnik Miedziorysy stanowi zbiór opowiadań, swoistych życiorysów byłych pracowników KGHM. Do ich powstania doprowadziły dziesiątki spotkań i wzruszających rozmów. Obok historii o trudnych początkach pracy na miedzi, nasi bohaterowie opowiadają o swoich prywatnych sprawach: o zakładaniu rodziny, dzieciach, wnukach, o radosnych, jak też i o smutnych zdarzeniach w swoim życiu.

Być może tu i ówdzie ich relacje będą nieznacznie odbiegały od oficjalnej faktografii, niekiedy mogą się pojawić pewne rozbieżności w odbiorze tych samych sytuacji przez różne osoby, które będą je czytały. Chodzi nam jednakże o historię subiektywną, pisaną indywidualnymi biografiami „ludzi z miedzi”, którzy budowali nie tylko przemysł ale, poprzez swoje doświadczenia i tradycje wyniesione z rodzinnych stron, wpływali również na tworzącą się społeczną tożsamość regionu miedziowego. Zależy nam bardzo na tym, by publikowane w Miedziorysach wspomnienia dawały w miarę możliwości najpełniejszy, wielowymiarowy obraz historii Polskiej Miedzi, także z tej osobistej perspektywy.

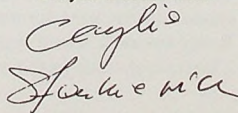
Mamy nadzieję, że wydane wspomnienia zachęcą innych, dawnych pracowników Polskiej Miedzi, do podzielenia się swoimi historiami i przeżyciami. Zainteresowanych zachęcamy do kontaktu z redakcją pod pod numerem telefonu: 76/747 88 73.

Krzysztof Kułacz



Sekretarz
Fundacji Polska Miedź

Cecylia Stankiewicz



Prezes Zarządu
Fundacji Polska Miedź

**Któregoś dnia idziemy
upadową w górę, a tu przodka
nie ma. „Może przysypało”
– pomyślałem, ale gdy
podszedłem bliżej,
ze zdumieniem stwierdziłem,
że drogę tarasuje dąb,
o średnicy około 1,5 metra...**

*Tadeusz Czyżowski
instruktor strzałowy
w ZG Lubin. Pracował
w latach 1961–1981*



Dziesiątka z „Leny”

Pochodzi ze Wschodu. Za najważniejsze w swoim życiu uważa dwa okresy. Pierwszy z nich, to lata II wojny światowej, podczas której szlak bojowy przeszedł jako żołnierz Armii Czerwonej. Został do niej wcielony po zajęciu wschodnich rubieży Polski przez ZSRR. Drugi, to lata pracy w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi w Lubinie. Zanim tu trafił, jeszcze przez kilka powojennych lat tułał się po Polsce.

W 1946 r. znalazł się w Legnicy, gdzie wreszcie udało mu się przenieść do wojska polskiego. Z Komendy Rejonowej Wojsk Radzieckich został przekazany do IV Dywizji I Pułku V Batalionu Saperów w Krośnie Odrzańskim, i tam jeszcze w tym samym roku został zdemobilizowany.

■ Po latach zawieruchy

Po zrzuceniu munduru zaczął szukać mamy Heleny, siostry Haliny i brata Kazimierza, z którymi na początku wojny rozstał się w rodzinnym Zabłotowie (powiat Śniatyni, woj. stanisławowskie). Niestety wiedział już, że tato Władysław nie żyje (w 1942 r. został zatrzymany przez Niemców, osadzony w więzieniu, gdzie zmarł). Rodzinę odnalazł dopiero w 1962 r. Okazało się,

że bliscy nie zostali wysiedleni i nadal mieszkają w rodzinnych stronach.

Z wojska otrzymał odprawę w wysokości 500 zł. Zaczął szukać pracy, dzięki pomocy kolegów z wojska trafił do Kamiennej Góry. Tu, w Państwowych Zakładach Lniarskich, został pracownikiem ochrony. Praca nie była zła, ale płaca marna, więc gdy dowiedział się od znajomego, że w Górze Śląskiej dyrektorem banku jest krajan ze Wschodu, pojechał tam i został ochroniarzem. Ożenił się, urodził mu się syn. Niestety w banku zarabiał zaledwie 450 zł, przez co rodzina z trudem wiązała koniec z końcem. Po roku do dyrektora zadzwonił jego znajomy ze Złotoryi, także dyrektor banku urodzony na Kresach. Pytał go, czy ma zaufanego człowieka, bo potrzebuje kogoś do zorganizowania ochrony. Gdy dyrektor wspomniał mu o tej pracy, zgodził się bez wahania. Wyjechali do Złotoryi, gdzie zamieszkał z rodziną przy ul. Konopnickiej i zatrudnił się w banku. Dostawał 700 zł miesięcznie, więc byt rodziny nieco się poprawił.

■ Atlasy i monki

O tym, że trafił do górnictwa miedziowego, zdecydował przypadek. Sąsiadem z bloku był górnik z Zakładów Górniczych Lena, który

pewnego dnia powiedział mu, że w „Lenie” potrzebują ludzi do pracy.

– Chyba się nie boisz zjechać na dół. Byłeś przecież na froncie – przekonywał. – Pojechałem na kopalnię, w kadrach powiedziano mi, że mogę zacząć choćby od jutra. Nie chciałem być niełjalny wobec dyrektora banku, dlatego powiedziałem, że w nowym miejscu oferują mi pensję o 2 tys. zł wyższą i dlatego chcę odejść. Dyrektor nie sprzeciwiał się. W 1951 r. zacząłem pracę na kopalni, nie musiałem nawet jechać na kurs górników strzałowych, ponieważ byłem saperem i miałem dokumenty z wojska, które to potwierdzały. Później tego żałowałem, bo koledzy poszli na takie szkolenie i przez 6 tygodni nie musieli pracować, a wynagrodzenie otrzymywali w pełnej wysokości.

Początki na „Lenie” były bardzo trudne. Na dole nie pracowały żadne maszyny, ludzie musieli wszystko robić ręcznie. Ściany miały do 100 m długości. Na zmianie najpierw trzeba było łopatami wybrać urobek, potem zabudować ścianę, wywiercić otwory i strzelić. Ruda ładowana na rynny blaszane, zawieszane na łańcuchach, trafiała do wagoników. Kolejka akumulatorowa odwoziła ją do zsypu, a dalej upadową transportowaną była pod szyb. Na ścianie pracowali we czterech, oprócz Tadeusza Czyżowskiego jeszcze Janek Chmies, Czesław Kolada i Stefan Koguciak.

– Otwory strzelnicze wierciliśmy początkowo wiertarkami powietrznymi chłodzonymi wodą. Najgorsze były szwedzkie Atlasy, które ważyły około 30 kg, trzęsło nami niemiłosiernie przy wierceniu w twardym złożu. Skutki tej pracy odczuwam do dziś, na moich rękach widać wiele zwyrodnień. Po kilku latach dostaliśmy elektryczne wiertarki „monki”. Było łatwiej i nie musieliśmy już z sobą ciągać tych ciężkich węży z powietrzem i wodą. Kolejnym usprawnieniem pracy na dole były pociągi. Pamiętam, że w tym czasie kierownikiem oddziału był Witold Parchimowicz, późniejszy dyrektor ekonomiczny kombinatu. Do specjalnych wagoników wsiadało się z obu stron, po 6 – 8 osób i jechało do przodka, gdy wyrobisko były już dalej od szybu.

■ Niedokończona upadowa

– Praca na „Lenie” dawała nam porządnie w kość. Tam na przemian musieliśmy, to odwadniać chodniki, to ociosywać, by wreszcie strze-

lać i wybierać. Pewnego dnia, po przyjeździe do pracy, powiedzieli nam, że poprzednia zmiana strzeliła ścianę, a my mieliśmy wybrać urobek. Zjechałiśmy na dół, a tam nic nie widać, dopiero po chwili zorientowaliśmy się, że ściana się zawaliła. Musieliśmy wszystko ręcznie usuwać, urobiliśmy się po same łokcie, ale zdążyliśmy i następna zmiana mogła przystąpić do pracy.

■ Zdarzały się różne zaskakujące sytuacje:

– Któregoś dnia idziemy upadową w górę, a tu przodka nie ma. „Może przysypało” – pomyślałem – ale gdy podszedłem bliżej, ze zdumieniem stwierdziłem, że drogę tarasuje...dąb,



Barbórka, 4 grudnia 1970 r., ZG Lubin.
Poczet sztandarowy, Tadeusz Czyżowski
w środku ze sztandarem.

o średnicy około 1,5 m. Okazało się, że koledzy przebijając upadową w górę, podjechali pod powierzchnię, na której był las dębowy i pod wpływem ciężaru drzewa, ziemia się zapadła, a dąb z korzeniami zatkał upadową.

Górnicy zawiadomili kierownika wentylacji o zaistniałej sytuacji i po naradzie kierownictwo kopalni zaniechało dalszej budowy, bo w nowym

■ Inna „bajka”

Pod koniec 1969 r. na „Lenę” przyjechał z nowego zagłębia przedstawiciel kopalni „Lubin” i powiedział, że ma pracę dla 10 górników strzałowych. Dyrektor Maziarz sporządził listę wybrańców, na której znalazł się również T. Czyżowski. W ten sposób trafił do Lubina – akurat ukończono budowę wieżowca przy ul. Kiliń-



*Barbórka, 4 grudnia 1976 r., ZG Lubin.
Karczma Piwna w siedzibie SITG w podziemiach lubińskiego Ratusza.*

zagłębiu powstawały już nowe szyby. Był już „Bolesław”, czyli Lubin Wschodni, Lubin Główny, na ukończeniu był też Lubin Zachodni. W 1967 r. na „Lenie” rozpoczęto proces likwidacji. Dąb obcięto na powierzchni równo z ziemią i ten swoisty „korek” zatykający upadową pozostał tam już na wieki.

– Na „Lenie” przepracowałem 18 lat, zaczynałem od zwykłego górnika. W tym czasie w kopalni dyrektorami byli: Jan Mazur, Alfred Cholewiak, Zbigniew Pochciał i Władysław Maziarz. Chociaż pracowaliśmy znacznie ciężiej i w trudniejszych warunkach, wypadków śmiertelnych było mniej, niż w czasie mojej pracy w ZG Lubin.

skiego. W 1970 r. zamieszkał z rodziną w tym bloku i rozpoczął pracę na szybie „Bolesław”, na oddziale III, skąd przeszedł na emeryturę.

– Praca w nowej kopalni to była zupełnie inna „bajka”. Przyjechała maszyna i wybrała cały urobek. Rękoma nie trzeba było tak ciężko pracować, tylko koło zsypu łopatą należało wyczyć i posprzątać rozrzucony urobek. Przyjechała wiertnica, odwierciła otwory, jedynie materiał wybuchowy ładowaliśmy ręcznie. To była tak ogromna różnica, jak między niebem a ziemią, my zaś czuliśmy się jak paniska. Potem zostałem przodowym pola na zmianie i miałem jeszcze lżej, prawie jak sztygar. Po kolejnych kil-

ku latam zdobyłem uprawnienia instruktora strzałowego. Byłem zadowolony, tylko niestety praca stawiała się coraz bardziej niebezpieczna...

■ **Myślał, że zasnąłem...**

W 1976 r. przydarzył się mu pierwszy poważny wypadek. Wszystko było przygotowane zgodnie ze sztuką górniczą, co potwierdziła później Komisja Górnicza badająca przyczyny wypadku. Przodek był zabudowany kotwami, wszystko załadowane, a wiertnica wierciła drugi przodek do załadunku. Niestety było tąpnięcie i od ściany oderwała się 25-centymetrowa płyta ze wszystkimi kablami. Na całe szczęście T. Czyżowski był w tym momencie na drabinie, inaczej zginąłby na miejscu.

– Upadłem, obok mnie drabina, która stanęła na sztorc i zatrzymała płytę, chroniąc mnie od zgniecenia. Szczęście dopisało mi po raz drugi w chwili gdy koledze, który wiercił następny przodek, pękł wąż od wody. Przez to musiał wyسیść z maszyny i zobaczyć światelko mojej lampy, która spadła mi z helmu i świeciła prosto na niego. Jak mi później powiedział, zdziwiło go, że była tak nisko, podszedł sprawdzić, bo sądził, że śpię. Gdy zobaczył co się stało, wszczął alarm. Po kwadransie przyjechali ratownicy. Miałem dużą ranę ciętą na głowie, a moje oko prawie wypłynęło na wierzch. Zawieziono mnie do szpitala, tam założyli sześć szwów, a ze względu na stan oka, zostałem przetransportowany na Oddział Okulistyczny. Po zabiegu zabandażowano mi głowę, położono na łóżku, ale nikt mnie nie zapytał jak się nazywam. Rodzina nie miała pojęcia co się ze mną dzieje.

Zaniepokojona żona zaczęła go szukać. Na kopalni powiedzieli, że trafił do szpitala, ale w żadnym nie mogła męża znaleźć. Powiadomiła syna, wówczas studiującego we Wrocławiu, który szukał taty we wrocławskich placówkach zdrowia, a nawet w Świdnicy. Znaleźli go po trzech dniach, i to przypadkiem. Na oddział, na

którym leżał, przyszedł sąsiad z klatki i rozpoznał Czyżowskiego po głosie, gdy ten rozmawiał z lekarzem. Twarzy nie mógł zobaczyć, bo cała głowa była zabandażowana.

„Tadek to ty? Ciebie już trzy dni szukają” – powiedział zdziwiony. Natychmiast zadzwonił do żony i do dyrektora kopalni, którym wówczas był Adam Jesionek. Wszyscy się ucieszyli, dyrektor przyjechał odwiedzić rannego i nawet „kopertę” wręczył. Pod koniec pobytu w szpitalu dr Piotrowska powiedziała, że kieruje mnie na rentę powypadkową. Przyszli jednak koledzy i przekonali, że jestem jeszcze za młody na rentę. Leczenie trwało bardzo długo, byłem też w sanatorium i potem wróciłem do pracy.

W 1981 r. odszedł na emeryturę. W trakcie pracy zawodowej był działaczem związków zawodowych, zarówno na „Lenie”, jak i w ZG Lubin. Teraz jest przewodniczącym Zarządu Powiatowego Związku Żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego i zajmuje się sprawami weteranów II wojny światowej. Większość członków przekroczyła już 80., a Władysław Łojek i Stanisław Małachowski (też budowali kombinat) mają już po 92 lata. ■

Nagle zorientowałem się, że szlamu jest już tak dużo, że tylko głowa wystaje mi nad jego powierzchnią. Umiałem pływać, więc dałem nura w ten szlam i kierując się na przepompownię, płynąłem ile sił w nogach i rękach...

Sławomir Brok,
główny inż. ZWR
Lubin, Pracował
w latach 1956-1999



Coś po sobie zostawić

Jest taka szara substancja w małej buteleczce opatrzonej poślódką nalepką z napisem: Pierwszy koncentrat z ZG Lubin 15.02. 1968 rok. Owa próbka koncentratu, zawierająca około 7,6 procent miedzi, uzmysławia ogromny skok rozwojowy techniki i technologii przeróbki miedzi – dzisiaj ZWR w Polkowicach produkuje koncentrat o 18 procentowej zawartości Cu. Ta buteleczka przypomina także panu Sławomirowi Brokowi szczególne zdarzenie, które miało miejsce przed 44 laty.

■ Z „Konrada” na „Lubin”

Sławomir Brok, jako absolwent krakowskiej AGH (1956 r.), trafił do ZG Konrad w Bolesławcu z nakazu pracy. To tam, jako młody nadsztygar, po raz pierwszy kierował zmianą i nadzorował proces mechanicznej przeróbki rudy. Po 12 latach pracy na „Konradzie”, przeszedł do ZG Lubin.

Pamiętna zima 1968 roku była wyjątkowo ostra. W kopalni „Lubin” już wtedy dotarli do złoża. W oczekiwaniu na uruchomienie pierwszego ciągu technologicznego, pierwszą rudę miedzi z robót udostępniających, jak również rudę uboższą przywożoną z Nowego Kościoła, składowano na hałdach i w zbiornikach. Przełom stycznia i lutego był dla ZWR-u Lubin czasem ostatnich prób i weryfikacji błędów. Było ciężko, jak wspomina Sławomir Brok. Ludzie,

którzy pracowali na przeróbce, w przeważającej większości byli chłopo-robotnikami, toteż ich pojęcie o tym, co mają właściwie robić i jak się zachowywać w zakładzie, było małe. Również i z tych powodów robota szła, jak po grudzie. Pokruszona ruda miała dużą wilgotność i zawieszala się w betonowych zbiornikach. Pracownicy obsługi, wśród których były też kobiety, spychali ją ze ścian zbiornika długimi drągami.

■ Dał nurka w... szlam

Pamięta, jak z przeróbki przybiegł robotnik krzycząc: „Panie inżynierze szybko, bo ze zgęszczacza wypływa koncentrat!” Pobiegł na miejsce, aby zobaczyć, co się stało. A ponieważ zgęszczacz jest tak zbudowany, że można pod niego wejść tunelem, niewiele się zastanawiając, wszedł z kolegą pod jego spód.

– Wiedziałem, że według najbardziej czarnego scenariusza koncentrat może wypłynąć ze zgęszczacza na ziemię i do kanału. Gdyby tunel się nim wypełnił, znajdujące się w nim osoby zostałyby zalane – wspomina Sławomir Brok. – Krzycząłem do ludzi, by rzucili mi na dół duży kołek. Wpakowałem go w otwór po zaworze, a potem jeszcze dobijaliśmy go z kolegą. Niestety, w trakcie akcji tunel cały czas zapełniał się koncentratem. W pewnym momencie zorientowałem się, że jest go już tak dużo, że nad jego

powierzchnią została mi tylko głowa. Umiałem pływać, więc dałem nurka w ten gęsty szlam i kierując się na przepompownię płynąłem ile sił w nogach i w rękach. Dopiero kiedy poczułem grunt, wiedziałem, że zagrożenie minęło.

Na dworze był silny mróz. Wpadł do sztygarów-ki umorusany, ociekający przymarzającym błotem.

Szczęściem w łaźni była ciepła woda. Wygrzewał się pod nią jak nigdy i po wyziębieniu nie zostało śladu. Pamięta, że jeszcze tylko przez dwa tygodnie wydłubywał z uszu resztki suchego koncentratu.

– Nigdy nie myślałem, że dla ratowania koncentratu będę narażał własne życie. Działalem pod wpływem impulsu. Tyle trudu włożono, żeby ten pierwszy koncentrat uzyskać. Gdyby wypłynął do kanału, nie mógłbym spojrzeć swoim szefom w oczy. A przede wszystkim do końca życia nie wybaczyłbym tego sobie. W tych czasach ambicja, honor, satysfakcja odgrywały bardzo ważną rolę w tym parciu do przodu – uzasadnia dziś swą decyzję S. Brok.

■ Nie liczono godzin pracy

Piętnastego lutego 1968 r. ZWR Lubin wyprodukował pierwszy koncentrat miedzi. Pełną zdolność produkcyjną pierwszy zakład przeróbczy osiągnął po 4 latach pracy.

– To trudne czasy. Nie było odpowiednich materiałów, ani narzędzi. Służby zaopatrzeniowe miały ciężkie życie. Wszystko trzeba było wyjeździć i wyprosić w Polsce. Zawsze trzeba było wozic ze sobą jakieś prezenty – wspomina Sławomir Brok. – W czasach rozruchu wyjście do pracy rano o szóstej nie oznaczało, że się z niej wróci po 8 godzinach. Nierzadko robotę kończono o ósmej, czy o dziesiątej wieczorem. Czasem trzeba było jeszcze dłużej zostać, bo np. wyskoczyła awaria którejś z taśm transportujących urówek na przenośnikach. A były to taśmy gumowe, grube i ciężkie, które często pękały i wówczas spadały z impetem w dół. Wtedy trzeba było je wyciągnąć na górę, wyczyścić, odpowiednio ustawić i zwulkanizować. Wszystko

odbywało się bardzo szybko, bo przecież kopalnia musiała wydobywać.

W pierwszych latach załoga przeróbki przy ZG Lubin liczyła około 400 osób. W okresie szczytowym zatrudniano 630 pracowników. W miarę postępu technologii i techniki oraz budowy kolejnych ZWR-ów przy kopalniach, stan załogi malał. ZWR



Hala przesiewaczy wibracyjnych. Sławomir Brok (drugi od prawej) oprowadza delegację bułgarską.

Lubin stawał się kuźnią kadr dla innych zakładów przeróbczych. W grudniu 1969 r. uruchomiono ZWR przy kopalni „Polkowice”, a w 1974 r. następny przy kopalni „Rudna”. Pierwszy tego typu zakład przeróbczy w kraju i w Europie stosunkowo często był odwiedzany przez delegacje z kraju i zagranicy.

W życiu zawodowym przeróbkarza Broka osobą znaczącą był Czesław Masłowski, pierwszy główny inżynier ZWR Lubin.

– Nestor Masłowski, obok wiedzy i doświadczenia umiał, jak nikt inny, rozmawiać z ludźmi. Uczył nas, aby w relacjach z pracownikami nie funkcjonować jak „pistolet”, ale panować nad emocjami i zawsze zachowywać dystans. W konglomeracie ludzi o najróżniejszych doświadczeniach i tradycji, ważna była umiejętność wspólnego funkcjonowania – tłumaczy S. Brok.

Nad technologią przeróbki miedzi pracowali projektanci z wrocławskiego „Cuprum” i Bipromet-u oraz z Instytutu Metali Nieżelaznych w Gliwicach. Początkowo część urządzeń sprowadzono

z ZSRR, potem niektóre z nich, np. kruszarki wykonywała już nasza firma Makrum z Bydgoszczy. O sprowadzaniu maszyn z Zachodu nie było mowy, bo jak podkreślał S. Brok: „Dolar, nim się go wydało, oglądany był z każdej strony”. Dopiero później zakład zaczął kupować niektóre z urządzeń od firm zachodnich. Pojawiły się też pierwsze projekty pracownicze.

■ Inspiracje i pomysły

– Bardzo dużo satysfakcji dawała mi działalność dotycząca usprawniania nowych technologii. Wtedy miało to znamiona rewolucji technicznej. Wszystko po to, żeby proces przeróbki był tańszy i efektywniejszy – nawiązuje do rozwiązań racjonalizatorskich, które wprowadzał wspólnie z głównym mechanikiem Janem Bugajskim i inż. Stanisławem Chłoniem. – Trochę jeździliśmy po świecie i sporo widzieliśmy. Efektem tego było między innymi opracowanie i unowocześnienie przesiewaczy wibracyjnych oraz zmiana technologii odwadniania koncentratu z próżniowego na wyciskowe. Rozwiązanie to przyniosło bardzo duże oszczędności na gazie, co czyniło cały proces odwadniania koncentratu bar-

dziej opłacalnym – o czym S. Brok jeszcze dzisiaj wspomina z zadowoleniem.



W 1984 r. po odejściu Czesława Maślowskiego na emeryturę, Sławomir Brok przejął stanowisko głównego inżyniera ZWR. Na rok przed emeryturą S. Broka, czyli w 1998 r., w ramach optymalizacji struktur organizacyjnych, zarząd KGHM podjął decyzję o wydzieleniu zakładów wzbogacania ze struktur ZG Lubin, ZG Polkowice-Sieroszowice, ZG Rudna i utworzeniu z nich samodzielnego oddziału. 1 lipca 1998 r. jest oficjalną datą powstania Oddziału Zakłady Wzbogacania Rud.

Dzisiaj pan Sławomir, u boku małżonki, wiezie aktywne życie emeryta. Lubi pracę w ogrodzie na zapleczu swojego lubińskiego domu i sporo podróżuje. Chętnie wybiera kierunek na Kołobrzeg. Zakupione niegdyś małe mieszkanie, którego największą zaletą jest usytuowanie 150 m od morza, stanowi szczególną oazę. Pobyt w bliskości szumiącego Bałtyku, to o dowolnej porze roku wspinały wypoczynek. Ale każdego roku w grudniu S. Brok jest na barbórkowej karczmie piwnej. Póki siły dopisują, chce spotykać się z kolegami i wspominać dawne czasy. ■



Barbórkowe popisy. Od lewej inż. Jan Bugajski, szef elektryków Józef Piotrowski, gł. inż. przeróbki Sławomir Brok, sztygar oddziałowy rozdrabniałni Ludwik Kesler oraz inż. Jan Uniątowicz.

Kolejnym sukcesem „ruchowców” było opracowanie eksploatacji z zawalem stropu. To oni jako pierwsi odważyli się spowodować zawal, choć byli pełni obaw, bo choć w górnych partiach było mocno zawodnione i istniała realna groźba zalania chodnika wodą.

Wiktor Trojański,
kierownik robót
górnictw ZG Lubin.
Pracował w latach
1958-1986



Szcście bez pożegnań

Zaczynał studia w 1952 roku, na Wydziale Rudy i Soli Akademii Górniczo Hutniczej w Krakowie. W gronie pierwszoroczników byli między innymi Jan Ulrich, Henryk Kromołowski, Henryk Jukina, Zygmunt Wróblewski, Artur Salomon, a także Sławomir Brok z Wydziału Przeróbki. Wszyscy oni po skończeniu nauki trafili na miedź.

– Nie było łatwo, na zajęcia musieliśmy jeździć z budynku do budynku po całym mieście. Zegarki miało tylko pięciu z nas i często mieliśmy problemy z dotarciem na czas na wykłady, a na dodatek brakowało podręczników. Dobrze gdy mieliśmy skrypty, w przeciwnym razie uczułyśmy się tylko z tego, co zdążyło się zapisać na wykładach. Nauka trwała przez 9 miesięcy, 1 miesiąc spędzaliśmy na poligonie wojskowym, a kolejny na praktyce – wspomina Wiktor Trojański. Naukę skończył po 4 latach z tytułem inżyniera, a magistrem został kilka lat później, na dwuletnich studiach zaocznych.

W 1956 r. z nakazu został skierowany do pracy w Bolesławieckich Kopalniach Surowców Mineralnych, gdzie przepracował 1,5 roku. Szczęśliwy traf sprawił, że poznał inż. Henryka

Biardzkiego, który pracował w Zakładach Górniczych Konrad w Iwinach. Dzięki temu dostał pracę w kopalni miedzi.

■ Strzelili na siebie

Praca na „Konradzie” była ciężka i niebezpieczna. W chodnikach często obrywał się strop, tworzyły się tzw. „kominy”, co zagrażało życiu i zdrowiu górników. Potem ochotnicy, za odpowiednią, dodatkową opłatą, zabezpieczali takie miejsca. Czyścili je, a strop zabezpieczali drewnem, by odłamki skalne nie spadały na głowy pracujących górników. Praca w tych warunkach była ryzykowna, ale i popłatna, więc chętnych nie brakowało. Oczywiście od samego początku za błędy w sztuce górniczej surowo karano. Gdy pracował jako kierownik zmiany, na upadowej „Grodziec” doszło do niecodziennego zdarzenia.

– W tamtym czasie ściany strzelano się w dwóch seriach, a strzałowi ładowali materiał wybuchowy na obu odcinkach jednocześnie – opowiada. – Niestety, pomylili przewody przy podłączaniu do zapalarki. Stali na odcinku, gdzie ich zdaniem miało być bezpiecznie i strze-

lili na siebie. Byłem już na górze w łaźni, gdy powiadomiono mnie, że strzałowi się postrzelali. Wskoczyłem szybko w ubranie i zawróciłem do kopalni. Musiałem zejść upadową na poziom 800 metrów. Gdy dotarłem na miejsce, obaj siedzieli na spagu totalnie oszołomieni. Na szczęście nic groźnego im się nie stało, byli tylko „podziabani” po twarzach drobnym urobkiem. Jedynie dzięki niebывалemu fartowi nie zostali trafieni grubszymi skalami, w urobku było dużo wapienia, toteż odpadał od ściany dużymi blokami. Oni sami opowiadali później, że tego ogromnego ognia, który buchnął ze ściany przy odpalaniu ładunków, drugi raz już nie chcieliby widzieć. Niestety dla nich zdarzenie zakończyło się wyrokiem sądowym, bo za popełnione błędy tak się odpowiadało, a oni byli strażnikami z pełnym prawem wykonywania zawodu.

W „Konradzie” przeszedł drogę zawodową od sztygara zmianowego przez sztygara oddziałowego, objazdowego i na koniec został kierownikiem robót górniczych.

■ Dylematy władzy

Po 7 latach pracy w ZG Konrad, Wiktor Trojański przeniósł się do pracy w dyrekcji KGHM, gdzie zaproponowano mu w zarządzie stanowisko inspektora nadzoru górniczego. Miał wówczas okazję pracować – jak ocenia – z doskonałym dyrektorem i menadżerem Tadeuszem Zastawnikiem.

– Początki pracy w zarządzie kombinatu były pełne napięcia i nerwów. Szybko Lubin Główny i Lubin Zachodni podczas gwałtownej zalawy, co o mały włos nie doprowadziło do wstrzymania inwestycji. Niepoślednią rolę w tym, że tak się nie stało, odegrał Tadeusz Zastawnik. Gdyby nie jego postawa, prace mogły zostać wstrzymane, tym bardziej, że w Częstochowskim natrafiono na złoża rud żelaza i tam również zaczęto budowę kopalni. Władze centralne rozważały, którą inwestycję należy kontynuować. Szczęście zdecydowano się na miedź i była to decyzja trafiona, bo jak się później okazało, tamta inwestycja „nie wypaliła”.

Zdaniem W. Trojańskiego ogromne problemy przy drażnieniu tych szybów nie wzięły się

z braku umiejętności budowniczych, ale z faktu, że górotwór nie był dokładnie rozpoznany. Dopiero później, gdy na głębokości 670 m natrafiono na łupki, które miały wodę, stwierdzono, że przy drażnieniu szybów należało górotwór mrozić głębiej.

– Gdy dotarli do łupków, ogromne masy wody zaczęły zalewać szyby. Problem był trudny do opanowania, bo łupki nie chciały wiązać się z cementem. Wtłoczono tam ogromne jego ilości i w końcu udało się zacementować warstwę łółupków i zgłębić do złoża.

■ Osiągnięcia...

Praca w ruchu kopalni bardziej mu odpowiadała, dlatego po 6 latach w zarządzie W. Trojański zdecydował się na przejście do Zakładów Górniczych Lubin. Trafił do Działu Przygotowania Produkcji i Postępu Technicznego.



– To był bardzo dobry okres mojej pracy – wspomina. – Mieliliśmy spore osiągnięcia. Po pierwsze, wprowadziliśmy nowe technologie wybierania złożeń. W tamtych latach brakowało systemu eksploatacji złożeń, były natomiast ciężkie maszyny, ładowarki, kotłowniki czy wozy odstawcze. Na początku wybierano złoża z podsypką suchą dmuchaną, co sprawiało ogromne problemy, bo piasek był pchany powietrzem. Nam udało się opracować i wdrożyć do eksploatacji system komorowy wybierania z użyciem maszyn ciężkich i ubierką filarów.

Za opracowanie i wdrożenie wysokowydajnych systemów eksploatacji złożeń rud miedzi w Zagłębiu zespół, w którym pracował W. Tro-

jański, otrzymał w lipcu 1972 r. od Komitetu Nagród Państwowych nagrodę I stopnia w dziedzinie techniki.

Kolejnym sukcesem „ruchowców” było opracowanie eksploatacji z zawałem. To oni, jako pierwsi, odważyli się spowodować zawał, choć byli pełni obaw, bo złożo w górnych partiach było mocno zawodnione i istniała realna groźba zalania wyrobisk wodą. Podobnie obawiano się wody w momentach, gdy z eksploatacją podchodzono pod otwory wiertnicze badawcze, gdyż nie było wiadomo, czy są dobrze zabezpieczone i nie ma w nich wody, która mogła zalać kopalnię. Na szczęście – jak mówi Wiktor Trojański – wiertnicy dobrze wykonali swoją pracę i otwory zabezpieczyli prawidłowo.

Oczywiście były również sytuacje, kiedy należało się wycofywać z wcześniej podejmowanych decyzji. Tak było, gdy zaistniała konieczność dogłębienia szybów L-1 i L-2, do poziomu 740 m. Zrezygnowano z budowy poziomu 740 na Szybach Głównych, w przeciwnym razie wykonanie komór w piaskowcu, który był słabo związany, niesłoby duże zagrożenie obwałami (dodatkowo z uwagi na skłip na szybie L-2 komory te musiałyby być odpowiedniej wielkości).

– Zrezygnowaliśmy z tych planów i w zamian budowaliśmy tzw. diagonale zachodnie i wschodnie, z zastosowaniem przenośników taśmowych – wspomina. – Pomysł polegał na tym, że z poziomu 610 metrów Szybów Głównych L-1 i L-2 prowadzono pochylnie do poziomu 740 na Lubinie Zachodnim i Wschodnim. Zrezygnowaliśmy także z przewożenia trakcyjnego, co przyniosło ogromne korzyści, bo nie było kosztownych robót w skale i wyłomów, które należało zabezpieczać ogromnymi ilościami betonu. A ponadto diagonale prowadzono w złożu, więc nie było strat, bo od razu wydobywano rudę.

Kolejnym sukcesem zespołu była zmiana koncepcji budowy komór składu materiałów wybuchowych. Tradycyjne komory miały bardzo ścisłe obwarowania i przede wszystkim niewielkie gabaryty. Wskutek tego do transportu materiałów wybuchowych wykorzystywano małe wózki, a to rodziło konieczność załadunku ręcznego, przewożenia i ponownego rozładunku. Specjaliści z Lubina przeformowali w Urzędzie Górnictw nowy pomysł. Na poziomie 610 szybów L-1 i L-2 zbudowali skośne komory o dużym przekroju z możliwością wjazdu dużych wozów przewozowych. Wyeliminowano w ten sposób konieczność przeładunku MW do małych wozów. Na powierzchni materiał

ładowano od razu do dużych wozów, opuszczano je na dół i od razu transportowano do komory.

■ Po latach...

Wiktor Trojański odszedł na emeryturę w 1986 r., po 30 latach pracy. Dzisiaj, gdy patrzy jakie teraz górnicy mają warunki pracy oraz płacy i jakie stawiają żądania, dziwi się:

– My pracowaliśmy 6 dni w tygodniu, często także w niedziele, bez dodatkowego wynagrodzenia, a gdy pytalśmy się dlaczego tak jest, dyrektor odpowiadał: „Pracujcie wydajniej w tygodniu, to nie będziecie musieli w niedziele”. Ponadto w ZG Konrad we wtorki, czwartki i soboty również często musieliśmy pracować na tzw. „rolkach”, czyli na trzech zmianach, dodatkowo przygotowywaliśmy urobek do wydobycia w nocy i na pierwszą zmianę w dniu następnym. Pierwsze i drugie zmiany były wydobywczymi, więc na trzeciej należało dodatkowo fedrować 3–4 godziny, by przygotować pracę dla pierwszej zmiany. I chociaż czasami ktoś się buntował i narzekał, wszyscy rzetelnie wypełniali swoje obowiązki za wynagrodzenie, którego z dzisiejszymi w żaden sposób nie da się porównać.

Z nieukrywaniem zadowoleniem pokazuje dokumenty obrazujące osobiste dokonania. Dyplom Komitetu Nagród Państwowych potwierdzający nagrodę I stopnia za udział we wdrożeniu nowych systemów eksploatacji złoża, dyplom współtwórcy wzoru użytkowego pojemnika do transportu i magazynowania materiałów wybuchowych (8 kwietnia 1977 r. został zastrzeżony prawem ochronnym przez Urząd Patentowy), a także datowane na 14 października 1978 r. wyróżnienie Rektora Politechniki Wrocławskiej, za udział w realizacji badań.

– Przez cały czas mojej pracy nie doszło do śmiertelnego wypadku – podsumowuje z satysfakcją. – To ogromne szczęście, bo najgorzej jest żegnać kolegów i znajomych. Miałem możliwość pracy ze znakomitymi ludźmi. Przez długie lata pracowałem pod nadzorem wybitnego menadżera Tadeusza Zastawnika. Bardzo ciepło wspominam lata pracy z dyrektorem Januszem Bojakowskim, człowiekiem o ogromnej wiedzy i doświadczeniu. Pracowałem także z Zenonem Słowińskim, Janem Sadeckim, Włodzimierzem Mięśowiczem, Józefem Szczerbą, czy Kazimierzem Ziają. To fachowcy, godni najwyższego szacunku. ■

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych żywot ZG Lena w Wilkowie dobiegał końca, a Złotoryja zaczęła tracić charakter miasta górniczego. Coraz więcej ludzi wyjeżdżało do nowego zagłębia miedziowego, pracowali i osiedlali się w Lubinie i w Polkowicach. Stare zagłębie powoli zamierało. Stanisław Mikus był jednym z ostatnich pracowników, którzy w „Lenie” gasili światło, pomagając dyrektorowi Stanisławowi Pieprzykowi w likwidacji kopalni.

*Stanisław Mikus,
nadsztygar ds. górniczych i szkolenia
w ZG Lena i ZG
Rudna. Pracował
w latach 1963-1985*



Mistrz ceremonii

– Zawsze ciągnęło mnie do munduru – zwierza się Stanisław Mikus. – Chciałem zostać zawodowym żołnierzem. W wojsku ukończyłem szkołę oficerską, ale niestety wyszło na jaw, że miałem rodzinę za granicą i plany upadły, gdyż musiałem przejść do cywila. A że w tamtym czasie młodych ludzi werbowano na Ziemię Odzyskane, więc i ja postanowiłem poszukać tu swojej szansy. Do Złotoryi przyjechałem z Kielecczyny w 1956 roku, w ramach osadnictwa Ziemi Zachodnich. Już tego samego dnia po przyjeździe rozpocząłem pracę w Państwowym Ośrodku Maszynowym, jako kierowca. Potem byłem zatrudniony również w „filcach”. Niestety, to wszystko było poniżej moich ambicji, szukałem więc czegoś ciekawszego. Na krótko pojawiła się szansa na mundurową posadę zaawodowcy stacji PKP w Jerzmanicach Zdroju, jednak ostatecznie nic z tego nie wyszło. Ale byłem diabelnie uparty i w końcu wskoczyłem w mundur. Górniczy!

■ Do łopaty

– Do górnictwa, to ja się dostałem przez korpucję, a właściwie to szantaż – śmieje się Stani-

śław Mikus. – W 1963 roku sekretarz powiatowy, niejaki Kotlicki, chciał mnie zrobić kierownikiem zarządu powiatowego Ligi Obrony Kraju, jako że świeżo byłem po szkoleniu wojskowym i należałem do partii. Ten pomysł jednak nie przypadł mi do gustu, więc powiedziałem: „nie”. On na to: „W takim razie w Złotoryi nie znajdziesz żadnej roboty.” A byłem w tym czasie bez pracy. Myślałem, że ot tak sobie chlapnął ze złości na mnie. Idę do Zakładów Górniczych Lena, pytam o robotę, a kadrowy Musiał Władzio mówi, że nie przyjmie, bo Kotlicki zabronił. Za to poradził: „Spróbuj u Fredka Wołczyńskiego”, który był dyrektorem technicznym w kopalni sztolniowej w Nowym Kościele. Okazuje się, że i tam Kotlicki dzwonił. Wszędzie gdzie się udałem, słyszałem, że jest blokada na moją osobę.

– Byłem podłamany i pewnie wróciłbym w swoje rodzinne sandomierskie strony, gdyby nie przypadek i pomoc znajomego komendanta Milicji Obywatelskiej w Złotoryi. Gdy usłyszał o szyskanach Kotlickiego, powiedział: „Nie martw się, ja ci to załatwię.” Akurat tak się zdarzyło, że inżynierowie z „Leny” zdrowo popili i narozrabiali w klubie, w konsekwencji grozi-

ło im kolegium ds. wykroczeń. Dyrektor kopalni chcąc uniknąć skandalu, szukał sposobu zatuszowania incydentu. Komendant powiedział mu: „Jak przyjmiecie Mikusa do pracy, sprawy nie będzie.” Owszem przyjęli mnie na oddział Jasia Foligowskiego, ale do łopaty. To była katorga! Ja duży chłop, pokładziki tam niskie, czasem na kolanach musiałem zasuwać. Zaczynałem od najniższego szczebla, byłem górnikiem ładowaczem i górnikiem rabunkarzem. Całe szczęście docierali mnie w ten sposób tylko przez trzy miesiące. W sumie to aż tak źle nie wspominam tego okresu, bo fajni ludzie tam pracowali, dobrze zapamiętałem m.in. Jurka Krupienia i Miecia Końkowa.

– Wcześniej już zacząłem studia na Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, ale w „Lenie” powiedzieli mi, że jeśli chcę nadal pracować w górnictwie, muszę iść na AGH. Kopalnia opłaciła mi kurs przygotowawczy na uczelnię i zostałem przyjęty. W 1971 roku byłem już inżynierem, a wcześniej, jako ekstern, zostałem absolwentem Zasadniczej Szkoły Górniczej przy ul. Konopnickiej w Złotoryi, gdyż bez takiego świadectwa nie miałem szans na awans. W 1974 roku doszedłem do funkcji zastępcy kierownika działu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy, kierownikami moim był wówczas Stasiu Felczyński z Legnicy.

■ Ostatnia tona

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych żywot ZG Lena w Wilkowie dobiegał końca, a Złotoryja zaczęła tracić charakter miasta górniczego. Coraz więcej ludzi wyjeżdżało do nowego zagłębia miedziowego, pracowali i osiedlali się w Lubinie i w Polkowicach. Stare zagłębie powoli zamierało. Stanisław Mikus był jednym z ostatnich pracowników, którzy w „Lenie” gasili światło, dyrektorowi Stanisławowi Pieprzykowi pomagał w likwidacji kopalni. Eksploatację zakończono w ostatnim dniu grudnia 1973 roku. Na pamiątkowym zdjęciu widać, jak



Ostatnia tona rudy w „Lenie”.

sztygar oddziałowy G-1 Eugeniusz Jałowiecki uroczyście składa raport dyrektorowi Stanisławowi Pieprzykowi o wydobyciu ostatniej tony rudy miedzi. Na pierwszym planie Stanisław Mikus z mikrofonem w rękę, w roli reportera nagrywającego całą uroczystość.

Wielu pracowników z zamkniętej „Leny” trafiło do ZG Rudna, najnowszej i najnowocześniejszej wówczas kopalni w LGOM. Najpierw, przez trzy miesiące pan Stanisław był sztygarem zmianowym na oddziale drogowym G-9, którym kierował już nieżyjący Jan Łakota – też wywodził się z „Leny”. Potem zaproponowano mu zorganizowanie oddziału szkoleniowego.

– W ciągu prawie dziesięciu lat wyszkoliliśmy na naszym oddziale ok. 11 tys. pracowników, od szeregowych górników po dozór – absolwenci studiów górniczych również musieli przejść szkolenie. W 1984 roku osiągnąłem najwyższy szczebel w swojej karierze zawodowej – zostałem zatwierdzony jako nadsztygar górniczy i ds. szkolenia. W tym samym roku niestety zachorowałem i rok później musiałem przejść na emeryturę.

– „Rudna” – opowiada – była całkiem inną kopalnią niż „Lena”. Człowiek był oszołomiony wielkością chodników i wyrobisk. W „Lenie”,

zakładzik płyciutki, głębokość ledwie 150–200 metrów. Na dół zjeżdżało się szybko lub szło się z powierzchni spacerkiem jedną z pochylni, które służyły równocześnie do wentylacji, odwadniania i transportu materiałów. Chodniki miały najwyżej 3,5 metra wysokości. Zabieganiano je drewnianą obudową, później doszła metalowa łukowa. Dopiero na początku lat siedemdziesiątych wprowadzono doświadczalne kotwienie, ale my i tak stawialiśmy przezornie dodatkową tradycyjną obudowę.

■ Lampa z blinda

Od początku swojego pobytu w Złotorzy zajmuje małe, dwupokojowe, mieszkanie w dawnym górniczym bloku, przy ulicy Górniczej. Przez dziesięć lat dojeżdżał do „Rudnej” i nigdy nie marzył o przeprowadzce do nowego zagłębia. Mówi, że tu dobrze się czuje i odpowiada mu środowisko, w którym mieszka.

Stanisław Mikus należy do tych ludzi, którzy nie potrafią usiedzieć w miejscu. Cały czas gdzieś się angażował, co teraz taktownie wypomina mu żona Anna, bo jej samej niełatwo było godzić pracę zawodową z przedszkolanką z wychowaniem dwójki dzieci, podczas gdy mąż większość czasu spędzał poza domem.

– Bo ja – usprawiedliwia się pan Stanisław – należę do wymierającego już pokolenia społeczników. Tak mnie wychowano.

To, że wszędzie było go pełno, można zauważyć na pamiątkowych zdjęciach: a to na czele grupy górników w pochodzie pierwszomajowym, a to przy mikrofonie, czy stole przydialnym w trakcie górniczych imprez. Dopiero dwa lata temu, po zawale, zrezygnował z wszystkich funkcji. Działal także w kółku łowieckim, w ogródkach działkowych, w Związku Kombatanów i Więźniów Politycznych



*Stanisław Mikus
w pochodzie
pierwszomajowym
w Polkowicach.*

(podczas wojny, jako nieletni, był kolporterem podziemnej prasy i łącznikiem w Armii Krajowej).

Wciąż jednak udziela się w Złotoryjskim Towarzystwie Tradycji Górniczych. Co najmniej kilka razy do roku, podczas imprez organizowanych przez Towarzystwo, wkłada mundur, ten sam od czterdziestu lat, udekorowany od-

znaczeniami górniczymi i innymi. W grudniu występuje jako mistrz ceremonii obchodów barbórkowych, odbywających się w centrum miasta. ZTTG organizuje je z pełną pompą (przemarsz orkiestry, korowód z lisem, bryczka, konie, pasowanie na gwarków itp.), jak za dawnych lat, gdy Złotoryja była stolicą starego zagłębia miedziowego. W czerwcu bierze udział w Dymarkach Kaczawskich, gdzie również wciela się w rolę mistrza, pasującego wg rytuału górniczego nowych członków Towarzystwa. We wrześniu spotyka się z dziećmi i młodzieżą



*Ceremonia
pasowania nowych
członków ZTTG.*

w podziłtoryjskim skansenie w Leszczynie, na Edukacyjnych Dymarkach Kaczawskich. Przy specjalnie przygotowanej do tego celu sztolni opowiada o kopalni, w której niegdyś uczył się górniczego fachu i demonstruje dzieciakom muzealne okazy lamp.

- Naftowej - wyjaśnia - używano się pod ziemią do wykrywania dwutlenku węgla. Kiedyś gaśla, to trzeba było szybko brać nogi za pas.

Ale siedem lat temu zamienił ją na kijki do nordic walking. Napotkani znajomi, widząc państwa Mikusów z kijkami, czasem żartobliwie zapytają: „A gdzie narty?” Oni jednak nie obrażają się, do swojego hobby podchodzą ambitnie.

Trzy lata temu, w Mistrzostwach Świata w Nordic Walking rozgrywanych w Złotoryi, zajęli w kategorii wiekowej 50+ wysokie miejsca. Pani Anna czwarte a pan Stanisław siódme.



Państwo Mikusowie dbają o swoją kondycję.

Karbidowa służyła do oświetlenia, przy czym te dla dozoru nieco różniły się od zwykłych metalowych lamp górniczych. Były wykonywane z mosiądzu i miały blindę - wklęsłą blaszkę odbijającą światło płomienia. Te górnicze eksponaty zabierał również ze sobą, gdy był zapraszany na spotkania do szkół.

■ Gdzie narty?

Mimo że od paru lat siedemdziesiątkę ma już za sobą, na co dzień w domu rzadko wysiaduje w fotelu przed telewizorem. Oboje z żoną dbają o to, by jak najdłużej utrzymać dobrą formę. Latem pracują na działce, a także kilometrami wędrują po okolicznych polach i lasach. Kiedyś na te wyprawy zawsze brał ze sobą górniczą laskę.

W następnym nie startowali, ponieważ w tym samym czasie Polska Miedź świętowała w Lubinie jubileusz 50-lecia. Pan Stanisław został poproszony do udziału w obchodach, w roli mistrza ceremonii górniczych, pasującego na gwarków członków zarządu miedziowej spółki. ■

W 1981 roku mówił głośno, że nie podoba mu się stan wojenny. Ktoś doniósł. Wezwano Józefa Pastora do dyrektora i w obecności komisarza został karnie zdegradowany. Wypowiedziano mu dotychczasowe warunki zatrudnienia i od razu wręczono nowy angaż, jaki dostawali nowo przyjęci, bez karty górnika i innych przywilejów. Cofnęli też talon na skodę, przyznaną za dobrą pracę tuż przed stanem wojennym.

*Józef Pastor,
elektromonter
urządzeń górniczych
w ZG Konrad i w ZG
Lubin. Pracował w la-
tach 1966-1996*



*Zespół szybów L-III i L-IV kop. Lubich
Iwiny dnia 13 grudnia*

Chciałem być rybakiem

Nigdy nie chciał iść w ślady ojca, który był górnikiem. Ojciec zaczynał w kopalni gliny, później (w 1961 roku) przeszedł do Zakładów Górniczych Konrad w Iwinach. Józka, jako młodego chłopaka, ciągnęło na morze. Marzył by pływać na statkach i łowić ryby. Rodzice nie chcieli o tym słyszeć, żeby ich jedyny syn wyjechał tak daleko od nich. Ale on był uparty, dlatego po podstawówce, w tajemnicy przed nimi, złożył dokumenty do wymarzonej szkoły w Kołobrzegu na kierunku: sternik i nawigator rybołówstwa dalekomorskiego. Gdy przyszło powiadomienie ze szkoły o przyjęciu, akurat był chory. List odebrała matka i nic mu nie mówiąc, od razu wrzuciła do pieca. Przyznała się do tego na krótko przed śmiercią. Cóż, po czterdziestu latach, przyjął tę wiadomość bez żalu i pretensji.

– I tak, zamiast do szkoły morskiej, trafiłem do zawodówki górniczej w Bolesławcu, a potem do technikum, na kierunek elektryczny – opowiada Józef Pastor. – No i oczywiście w końcu, w 1966 roku, wylądowałem w kopalni, którą

znałem ze szkolnych praktyk. Szkolenia odbywali się w kopalni Upadowa Grodziec. Schodziło się ponad półtora kilometra (dokładnie 1600 m) po upadowej na głębokość 180 metrów. Chodnik wyłożony był deskami z nabitymi poprzeczkami zabezpieczającymi przed poślizgiem, bokiem ciągnęły się poręcze. Wzdłuż chodnika szły tory dla wózków z urobkiem. Gdy wózki jechały, to ludziom, ze względu na bezpieczeństwo, nie wolno było przechodzić.

W tym rejonie, w lipcu 1961 roku, wydarzyła się tragedia. Podczas robót górniczych doszło do zalania kopalni. Woda wdarła się do wyrobiska na poziomie 315 metrów i podniosła się do poziomu 240. Trzem górnikom nie udało się uciec, stracili tam życie.

▪ Druga katastrofa

Iwiny od Bolesławca dzieli ledwie 11 km, ale żeby zdążyć na szóstą do pracy, Józef Pastor musiał wstawać przed czwartą, bo o czwartej piętnaście odjeżdżał pociąg. Na stacji w Iwinach czekały „stonki”, tak nazywano specjalne

autobusy, które dowoziły górników pod szyb. Było ich za mało, w środku panował straszny ścisk. Ludzie ryzykując, wyskakowali z pociągu w biegu, żeby zająć jakieś miejsce. Tak było do 1964 roku, potem przedłużono torę pod bramę kopalni, przy czym, niemal w tym samym czasie zaczęto dowozić ludzi do pracy autobusami. Dzięki temu górnicy dojeżdżający z Bolesławca mogli pospać pół godziny dłużej.

Druga katastrofa górnicza w ZG Konrad wydarzyła się 13 grudnia 1967 roku. Ofiary, niestety, do dzisiaj w żaden sposób nie zostały upamiętnione, nad czym ubolewa również pan Józef.

Iwiny po katastrofie górniczej.



- Ludzie opowiadali - mówi - że o trzeciej nad ranem wyrwał ich ze snu potężny huk, a potem w ciemnościach zobaczyli ogień na prze-wracających się słupach wysokiego napięcia. Szlam płynął jakieś sto metrów od domu mo-jego, wtedy jeszcze przyszłego, teścia. Fala ude-rzeniowa zmiotła wszystko po drodze: słupy, wagony, budynki. W zalanych domach zginęło 18 osób. W jednej z rodzin tylko jeden człowiek ocalał, ponieważ pracował na nocnej zmianie w kopalni. Sąsiedzi rzucili się do pomocy, mój teść uratował dziecko spod mułu.

Pan Józef na własne oczy nie widział, jak pę-kał wał stawu osadowego i jak wioskę zalewa-ła wysoka na sześć metrów fala poflotacyjnego błota. W tym czasie fedrował 500 metrów pod ziemią, na nocnej zmianie.

- W kopalni - wspomina - nagle zgasły wszystkie światła. Nie wiedzieliśmy, że tam na górze rwąca rzeka błota zniszczyła trak-cję elektryczną. Dozór natychmiast zarządził ewakuację, cała nocna zmiana wychodziła na powierzchnię upadową przez „Konrad II”, bo szyb z braku prądu był unieruchomiony. Do domu nie dało się jechać. Iwiny były odcięte od Bolesławca, ponieważ napór szlamu był tak po-tężny, że przesunął most w drodze, przez który dojeżdżaliśmy do pracy. Cała zawartość stawu osadowego popłynęła naturalnym wąwozem i dotarła aż pod Tomaszów Bolesławiecki. Na ratunek ludziom przyjechało wojsko amfibiami,

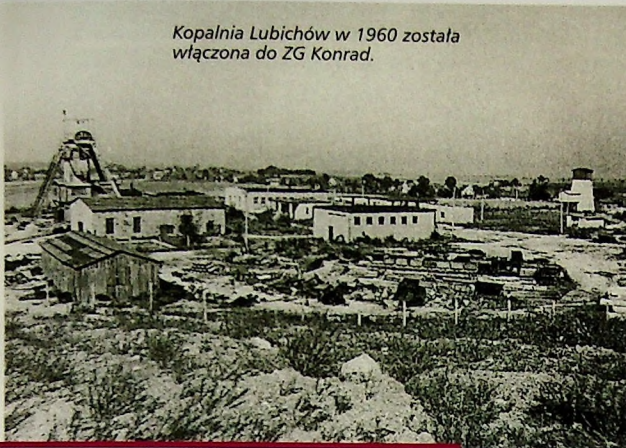
a nas z nocki dopiero około szesnastej - siedemnastej dowieźli do domów okręż-ną drogą przez Lubichów.

■ Dusilem się od spalin

- Po tej katastrofie ko-palnia stanęła. Wiadomo jednak było, że nie mogliśmy próżnować, bo ciągle słyszeliśmy: „kraj potrze-buje miedzi”. Przerzucili nas do Lubina, do SOWI (Samodzielny Oddział Wy-konawstwa Inwestycji) na budowę szybu w Zakładach Górniczych Lubin. Pracowaliśmy w okropnych wa-runkach, mróz jak diabli, a my w szybie - po „sześć” godzin, bo od szóstej rano do szóstej wieczór. W zamian poklepywano nas po plecach i przy-klejono etykietkę „młodej brygady ZMS”, a ja do żadnego tam „zetemesu” nie należałem. Oj, wtedy przestało mi się to wszystko podobać. Za-wsze byłem krnąbrny, tak jest zresztą do dzisiaj - nie kryję, tego co myślę. Już miałem stamtąd zwieźć, ale uratowało mnie wojsko. W 1968 roku wskoczyłem w mundur na trzy lata.

Wrócił dopiero w 1971 roku, jak „Konrad” już na nowo działał, ale przeróbka nie pracowała jeszcze na pełnych obrotach, bo po katastrofie nie było gdzie odprowadzać odpadów z flota-cji. Fedrunek szedł normalnie, a rudę zwalano w ogromne hałdy na polach w pobliżu szybu. Te zatory rozładował dopiero nowy staw osadowy zbudowany koło Bolesławca.

Kopalnia Lubichów w 1960 została włączona do ZG Konrad.



– Dyrektorem „Konrada” był w tamtym czasie Józef Szczerba – wspomina Pastor – i kiedy w 1977 roku przeszedł do ZG Lubin, zaczął ściągać swoich dawnych podwładnych. Mnie też zwierbował w 1978 roku, ale początkowo nie byłem z tego zadowolony, mimo że w nowym zagłębiu praca była lżejsza, bo zmechanizowana. Z kolei tu, u nas w starym zagłębiu, królowała łopata i ręczne wiertnice, a do tego pokłady były tak niskie, że w wielu miejscach nie można się było wyprostować. Ale czułem się tu bardziej swojsko. Długo nie mogłem się przyzwyczaić do lubińskich warunków, dusiłem się od spalin. Dyrektor Szczerba kilka razy wzywał mnie do siebie, bo zwlekałem z napisaniem podania o przyspieszenie przydziału mieszkania w Lubinie. Dojeżdżałem z Bolesławca, gdzie mieliśmy dwupokojowe mieszkanie i nie myślałem o przeprowadzce. Byliśmy stąd: żona pochodzi z Iwin a ja z Bolesławca. Nawet gdy już mieszkaliśmy w Lubinie na osiedlu Przylesie, a na świat miała przyjść druga córka, żona, mimo że pracowała jako pielęgniarka, za nic nie chciała tam rodzić. Z bólami porodowymi wiozłem ją taksówką aż do Bolesławca. Z czasem rodzice moi też przenieśli się do Lubina, mieszkali na osiedlu Polnym, przy Topolowej.

■ Został zdegradowany

Górnictwo, wyznaje szczerze, nie było jego pasją, pracował żeby utrzymać rodzinę. Ale zawsze był bardzo ambitny i odpowiedzialny za

swoją pracę, nigdy nie odpuszczał. Gdy w kopalni pojawił się jakiś trudny do rozwiązania problem, to „zabierał” go ze sobą do domu i tak długo kombinował, aż w końcu znalazł rozwiązanie. Miał opinię dobrego fachowca i dzięki temu przymykano oczy na to, że był niepokorny i nieraz – jak sam mówi – walił prosto z mostu, jeśli coś się mu nie podobało.

W 1981 roku mówił o tym głośno, że nie podoba się mu stan wojenny. Ktoś doniósł. Wezwano Józefa Pastora do dyrektora

– i w obecności komisarza został karnie zdegradowany. Wypowiedziano mu dotychczasowe warunki zatrudnienia i od razu wręczono nowy angaż, jaki dostawali nowo przyjęci, bez karty górnika i innych przywilejów. Cofnęli też talon na skodę, przyznając za dobrą pracę tuż przed stanem wojennym. Po trzech miesiącach wrócił na poprzednie warunki, ale to zdarzenie nauczyło go trzymać język za zębami. Bał się, że straci pracę i nie będzie mógł utrzymać rodziny. A co do talonu, dostał go dopiero sześć lat później na dużego fiata.

– Mieszkania, jak wiadomo, też były z przydziału – przypomina czasy PRL-u Józef Pastor. – Pierwsze, w Bolesławcu, zawdzięczał niestety wypadkowi. Przydział przyspieszono, a ja w rewanżu nie protestowałem, gdy mój poważny wypadek w kopalni – oberwałem kawałkiem rudy w kręgosłup – zakwalifikowano do kategorii czwartej, czyli lekkiej. Pół roku lekarz trzymał mnie na chorobowym. Drugi wypadek przydarzył się mi w ZG Lubin. Miałem pod nadzorem półtora kilometra taśm do transportu urobku. Któregoś razu urwał się wąż pod wysokim ciśnieniem, przywalił w ocios, a na mnie posypały się odłamki skał. Żona jeszcze przez wiele tygodni wyciągała okrucy rudy, które wbiły się w moją twarz. Jeden ciągle tkwi w oku. Został tam, bo zdaniem lekarzy, ryzyko związane z jego usuwaniem było zbyt duże. W związku z tymi wypadkami, w 1992 roku musiałem iść na rentę, a cztery lata później byłem już na emeryturze.

■ Powrót do Iwin

Mieszkając w Lubinie, cały czas myślał o przeniesieniu się na wieś. Żona początkowo nie chciała o tym słyszeć. Ale kiedy dostali od teścia działkę w Iwinach, klamka zapadła. Prawie cały dom postawił własnymi rękoma, przy wsparciu rodziny. Żona też pomagała, w czym tylko mogła. Jedynie wykonanie konstrukcji dachu powierzył cieśli, bo na tym się kompletnie nie znał. Często prosto z nocki jechał na budowę. Dom miał być dla całej rodziny, a zostali w nim we dwójkę z żoną. Jedna córka mieszka w Bolesławcu, druga w Irlandii a trzecia w Gdańsku. Ma jednak nadzieję, że chociaż któreś z wnuków zechce tu zamieszkać.

Na wczasy zakładowe nigdy nie jeździł, zazwyczaj wysyłał żonę z dziećmi. Sam wołał wypadki nad jezioro, na ryby. Nadal wędkuje. I polubił podróż: ze Stowarzyszeniem Emerytów i Rencistów Polskiej Miedzi był już w Bułgarii, Grecji, Hiszpanii, a w ub. roku wybierał się do Chorwacji. Przy okazji odwiedzin u córki, zwiedza Irlandię.

Na co dzień nie ma zbyt dużo wolnego czasu dla siebie. Pozyskuje drewno w lesie na opał. Często zdarza się, że ktoś z sąsiadów, czy znajomych wpadnie z prośbą o pomoc. Bo choć ma zawód elektrymontera urządzeń górniczych, to potrafi różne inne rzeczy robić. I wszyscy wiedzą, że w potrzebie nikomu nie odmówi. Ostatnio wymieniał instalację elektryczną u pewnego starszego mieszkańca Iwin.

– Wiem, że u niego się nie przelewa – mówi. – Ale uważam, że za darmo nic nie ma, więc biorę zło-tówkę od pokój...

■ Czarna dziura

Lubi sport – przez wiele lat grał w BKS Bolesławiec w piłkę ręczną. Do ubiegłego roku biegał pięć kilometrów dziennie, ale z powodu chorego kręgosłupa teraz z psem Basem, mieszańcem wilka i labradora, codziennie rano taki sam dystans pokonuje pieszo.

Gdy pracował, nie chodził na imprezy górnicze, tylko raz był na karczmie piwnej. Munduru górniczego też nigdy nie miał, bo nie czuł takiej potrzeby.

Dopiero teraz, na emeryturze, ciągnie do swoich. Spotykają się co tydzień w siedzibie oddziału Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Polskiej Miedzi w Iwinach, naprzeciwko dawnej kopalni ZG Konrad, gdzie wstępu już niestety nie mają, bo to teren prywatny. O tym, że kiedyś była tam kopalnia, przypomina jedynie grota św. Barbary, którą emeryci z Iwin odwiedzają w dniu święta swojej patronki. Utworzyli również izbę tradycji górniczej. Mają też świetlicę i pomnik poświęcony górnikom „Konrada” na osiedlu w Iwinach. To wszystko dzięki życzliwości gminy w Warcie Bolesławieckiej, która udostępniła pomieszczenia i ufundowała pomnik – podkreśla pan Józef.

– Nas, dawnych pracowników „Konrada” i w ogóle Polskiej Miedzi, zostało w tej okolicy, już tylko garstka – mówi pan Józef. – Na spotkaniach barbórkowych przeważają kobiety, dawne pracow-



nice PM i wdowy po górnikach. No cóż, mężczyźni jakoś szybciej się wykruszają. Ale widać, że potrzeba integracji jest duża, o czym świadczy fakt, że na 92 członków naszego Stowarzyszenia, 80 zapisało się na ubiegłoroczną zabawę barbórkową.

Po pracy w górnictwie Józefowi Pastorowi pozostało niewiele pamiątek: jedynie rosyjski jubileuszowy zegarek (już nie chodzi), przyznany na 25-lecie pracy, chory kręgosłup po wypadku w „Konradzie” i grudka rudy w oku – to po tym wypadku w ZG Lubin. Mówi, że gdy patrzy prosto w słońce, widzi wielką czarną dziurę. ■

„Maszynista wyciągowy obsługuje serce kopalni i jest jego najważniejszym trybem”. – Te pamiętne słowa Gintera Cieślika, towarzyszyły Edmundowi Ligockiemu, jako zawodowe motto, przez cały okres pracy w kopalniach KGHM.

Edmund Ligocki, maszynista maszyn wyciągowych w ZG Lubin, ZG Polkowice. Pracował w latach 1961-1985



Kujawiak na miedzi

Od zawsze fascynowało go wojsko, dlatego wybrał szkołę oficerską w Elblągu. Z wyróżnieniem ją ukończył, ale obowiązkami podchorążego się nie nacieszył, gdyż od 1953 r. w armii zaczęły się redukcje. Do 1958 r. jej szeregi musiało opuścić około 200 tys. żołnierzy, w tym 50 tys. oficerów. Edmund Ligocki podzielił ich los. Znalazł się w trudnej sytuacji, miał rodzinę, potrzebował możliwie najszybciej przekwalifikować się i zdobyć nową pracę. I wtedy odwołał się do rodzinnych doświadczeń.

■ Solne szlify

Ojciec był górnikiem soli w kopalniach w Inowrocławiu i w Wapnie. Idąc jego śladem znalazł pracę w Przedsiębiorstwie Budowy Szybów w Bytomiu, które wówczas prowadziło w całej Polsce roboty związane z głębieniem szybów. Akurat rozpoczęto budowę drugiego szybu kopalni Solno II.

– Po zdobyciu uprawnień do obsługi maszyny wyciągowej, przyjmujący mnie do pracy kierownik Ginter Cieślik powiedział: „Pamiętaj, maszynista wyciągowy obsługuje serce kopalni i jest jego najważniejszym trybem”. Te słowa towarzyszyły mi przez cały okres pracy zawodowej – nawiązuje do początków pracy Edmund Ligocki. – Przez pewien czas fedrowałem w Ino-

wrocławiu. Niestety, co rusz dawały o sobie znać trudne warunki geologiczne, a przede wszystkim zagrożenie wodne. W trakcie głębienia doszło do zalania szybu, roboty stanęły. Przeniosłem się więc do Kopalni Węgla Kamiennego Bielszowice w Rudzie Śląskiej, gdzie prowadzono roboty przy poszerzaniu szybów.

Przypadkiem nawiązał kontakt z kolegami pracującymi na Dolnym Śląsku. Opowiadali bardzo wiele o Lubinie, gdzie odkryto ogromne złoża miedzi. Właśnie rozpoczęło się głębienie pierwszych szybów, a to oznaczało większe możliwości pracy, większe szanse na lepsze zarobki i przede wszystkim nadzieję na otrzymanie własnego mieszkania.

■ Wybrał... nowe zagłębienie

Kiedy E. Ligocki zadzwonił do PBKRM zapytaniem o możliwość zatrudnienia, miał już za sobą 7 lat pracy na stanowisku maszynisty maszyny wyciągowej. W kadrach odpowiedzieli entuzjastycznie, że przyjmą z otwartymi rękami. Wówczas, razem z dwoma kolegami, ruszył na wielką miedź.

– Po pięknym, zdrojowym Inowrocławiu długo nie mogłem się przyzwyczaić do Lubina. Miasto było wyludnione, zniszczone, błotniste, z wykopami... niczym pobojoywisko. W tym roz-

gardiaszu, w baraku przy ul. Kościuszki, mieściła się dyrekcja PBKRM – przypomina pierwsze wrażenia po przeniesieniu się do Lubina.

■ Od „bobin” do urządzeń szwedzkich

W czerwcu 1961 r. rozpoczął pracę przy głębieniu szybu L-I kopalni, a po jego zalaniu przeszedł na szyb L-III, zwany później Szybem „Bolesław” na cześć Bolesława Sztukowskiego.



– Robota nie była łatwa, zwłaszcza przy głębieniu szybu. Przodek, który wówczas szedł w pionie, zawsze znajdował się pod naczyniem wydobywczym. Maszyna musiała zatrzymywać się pod nim w odpowiedniej odległości, a w przypadku gdy brygada strzela przodek i spąg się podnosił, należało maszyną stawać jeszcze wyżej. W przeciwnym razie mogłoby dojść do tragedii. Z tego również powodu operator maszyny musi koncentrować się na pracy, a równocześnie powinien słyszeć i reagować na wszystko, co dzieje się w zasięgu pracy maszyny – wspomina z przejęciem E. Ligocki.

Istotną sprawą była też odpowiednia prędkość jazdy maszyny. Podczas głębienia szybów z ludźmi jechało się 4 m/sek., a z urobkiem 8 m/sek. Ze spągu należało ciągnąć szczególnie delikatnie i z wyczuciem, gdyż przy prowadnicach linowych zbyt szybka jazda mogła naczynie rozbijać.

– Dzisiaj przy maszynach szwedzkich, niemieckich, ze sztywnymi prowadnikami, jeździ

się zdecydowanie szybciej, bo z prędkością 12, 16 m/sek. i nic się nie dzieje – opowiada ze szczypłą zazdrości.

Niestety, pan Ligocki pracował w czasach, gdy o maszyny wyciągowe było stosunkowo trudno. Najczęściej były to bębnowki radzieckie albo czeskie i polskie bobiny, budowane od lat pięćdziesiątych w Zakładzie Urządzeń Technicznych „Zgoda” w Świętochłowicach. Były także windy frakcyjne do przemieszczania pomostów. Pamięta, że pisało na nich Made in ZSRR choć, jak twierdzi, otrzymywane były z Niemiec w ramach kontyrbucji.

– To były potwornie silne urządzenia. Przy ich pomocy podczas głębienia szybu przemieszczano pomost razem z materiałami do szybowej obudowy – wspomina E. Ligocki. – Znaczenie później, gdy kopalnie ruszyły na pełnych obrotach, radzieckie wyciągi zostały w większości zastąpione przez zupełnie zautomatyzowane urządzenia szwedzkie i niemieckie.

■ Na swoim

Marzenie o własnych czterech ścianach spełniło się po sześciu miesiącach pracy w PBKRM. Zasiedlanie bloku przy ul. Broniewskiego towarzyszyły ogromne emocje i ciekawość nowych sąsiadów. Po z miesiącach od wprowadzki urodziła się trzecia córka Basia. Przy porodzie, który odbył się w domu, ogromnie pomagała żonie nowa sąsiadka.

– W tamtych czasach sąsiedztwo stanowiło jakby wartość dodaną do upragnionego, nowego mieszkania. Ludzie byli wobec siebie serdeczni, otwarci. Pomagaliśmy sobie, wspólnie cieszyliśmy się każdym kolejnym nowo wybudowanym blokiem, nowym sklepem, fragmentem drogi czy chodnika. Pamiętam radość mojej małżonki ze szpaleru pierwszych róż – posadzonych wzdłuż ul. Kościuszki. Dla niej były one namiastką zdrojowego Inowrocławia, gdzie się urodziła i dorastała. Wszyscy pilnowaliśmy, by tych róż nikt nie zadeptał. One były jak potwierdzenie, że z gruzów i wykopów wyłoni się nasze miasto – mówi E. Ligocki.

■ Cenny urobek

W czasach intensywnej budowy kopalni każdy dzień pracy przynosił coś nowego.

- Do pierwszego pokładu rudy miedzi na szybie L-III dobraliśmy się 11 marca 1963 r., około godz. 23. Powiadomiliśmy o tym zawiadowcę szybu inż. Jana Ulricha, który przeprowadził z brygadą ogłędziny przodka i potwierdził ten fakt. To prawda, czuliśmy ogromną satysfakcję i radość z tej historycznej chwili – wspomina z odrobiną wzruszenia. Potwierdzeniem tego wydarzenia jest pamiątkowe zdjęcie, wykonane z tej okazji przy pierwszym kubie rudy miedzi. Obok kubła w ubraniu roboczym stoi doświadczony górnik Franek Szymański i przodowy Władek Gworys.

Pierwszą wyciągniętą rudę układało się pod zadaszeniem. Niemal natychmiast zaczęły się nią interesować różne instytucje, bo jak podkre-

śla Ligocki, skarby były potężne: miedź, srebro, złoto i różne twarde speiki.

■ Zdążyli na oficjalkę

Oficjalne, uroczyste wydobywanie pierwszego kubła miedzi zostało przesunięte na 20 marca. Pamięta, że w tym dniu, przy przejmowaniu zmiany, było bardzo nerwowo. Okazało się bowiem, że przodek został zalany i nie będzie można rudy ciągnąć na górę. Szczęściem na zmianie był przodowy Gworys. Zarządził, aby całą wodę wlewać do kubła i wyciągać na powierzchnię.

- Ciągnąłem wodę do wpół do trzeciej, i udało się ją wybrać. Potem z udziałem czynników partyjno-rządowych, z sekretarzem wojewódzkim Matwinem i innymi osobistościami

z ministerstwa górnictwa, odbyła się planowana, oficjalna uroczystość – przypomina E. Ligocki. - Jej bohaterami był dozór, a także przodowi górnicy: Chudzik, Adamowicz, Gworys, Jurga, Cierpka, Breński i doświadczeni górnicy jak Ciupek, Wojtał, Chmielowski, Wachel, Staniszewski i wielu innych, których akurat na tej zmianie nie było i nie mogli stanąć przed obiektywem.

■ „Miedzianka” na sukcesy i smutki

Z okazji dotarcia do złoża i wyciągnięcia pierwszego kubła wyszedł pierwszy numer Nowej Miedzi. Pisano: „Po 1038 dniach walki z przyrodą udostępniono pokład rudy miedzi w nowym Zagłębiu.” Były z tej okazji gratulacje od Stanisława Laska, Pełnomocnika Ministra Przemysłu Ciężkiego. Jednak miejscem, w którym najgoręcej się dyskutowało o tym wydarzeniu, były restauracja Miedzianka i Klubowa, po których dzisiaj nie ma śladu.

To tam, jak podkreślał E. Ligocki, górnicy omawiali przy piwie czy wódce wszystkie sukcesy, radości, ale również bóle i smutki. Natomiast najbardziej kulturalnym lokalem tamtych czasów była Eureka. Chodziło się do niej z małżonkami na dansingi i zabawy, nawet sylwestrowe. Pan Edmund



Do pierwszej rudy miedzi na szybie L-III dotarli 11 marca 1963 r. około godz. 23.

przypomina sobie, że podczas jednej z nich, a było to w 1964 roku, koncertowała młodziutka Irena Santor. Było to wydarzenie, o którym przez wiele lat wspominało w górniczym środowisku.

Co pewien czas upominała się o chorążego Wojskowa Komenda Uzupełnień. Wówczas dozorował prace budowlane ekip wojskowych w różnych regionach Dolnego Śląska, m.in. w Lubinie przy zbrojeniu terenu pod budowę osiedla Mickiewicza, a także Szpitala Miejskiego i Domu Kultury „Muza”.

■ Bawili się razem

Po wydrążeniu szybów L-I, L-II, L-III kopalni Lubin, E. Ligocki przeszedł do kopalni Polkowice na P-V i P-VI. W każdym z tych miejsc

pracował na stanowisku maszynisty maszyny wyciągowej.

– Choć cudów się nie zarabiał, starczało na wszystko: chleb, mieszkanie, wyjazdy. Korzystał z wczasów zakładowych, które były prawie za darmo. Dziś mogę powiedzieć, że w okresie Polski Ludowej zwiedziłem cały kraj, od morza do gór i od wschodu po zachód. Wiązało się to z działalnością związkową. Razem z kolegami organizowaliśmy 3-dniowe wycieczki. W programie, oprócz krajoznawczych wędrowek i zwiedzania ciekawych miejsc, zawsze wieczorem był czas na wspólną imprezę. Ludzie chcieli się gromadnie bawić i wypoczywać, a dzisiaj – nad czym ubolewa pan Edmund – wszyscy się od siebie izolują.

■ Strzelectwo i samodyscyplina

Przez wiele lat E. Ligocki działał w Klubie Oficerów Rezerwy, a jednocześnie (do 1998 r.) popularyzował strzelectwo wśród załóg KGHM i mieszkańców Lubina.

– To jedna z nielicznych dyscyplin sportowych, gdzie nie ma ograniczeń wiekowych i zdrowotnych. Można strzelać nawet wtedy, gdy się ma 100 lat. Ten sport uczy spokoju, opanowania, wytrwałości i samodyscypliny, tak ważnej w życiu jednostki i społeczeństwa – przekonuje pan Ligocki. ■



Edmund Ligocki odbiera szpadę górniczą z okazji 25-lecia pracy zawodowej (4 grudnia 1982 r.).

Pracowników ZRM wzmacniających wieżowce w Polkowicach spotykały różne przykrości.

Mieszkańcy chowali im sprzęt, czasami oblewli ich wrzawką.

Górnicy po nocnej zmianie irytowali się, bo te hałasy nie pozwalały im wypocząć...

Jan Jurcenko
gl. inż. ds. szkód
górnich Biura
Zarządu KGHM.
Pracował w latach
1963–2004



Mierniczy z Lubina

Po ukończeniu studiów na Wydziale Geodezji Górniczej w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, w 1963 r. przyjechał na roczny staż do kombinatu. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że będzie to pierwsze i jedyne miejsce pracy. Ale tak się stało. Wraz z nim do Lubina przyjechali m.in. Franciszek Siczka, Stanisław Leja, Jan Kopeć i Jacek Mozdyniewicz. Trzech pierwszych także przepracowało całe życie w KGHM i do dziś mieszkają w Lubinie, będąc szczęśliwymi dziadkami.

■ Docenił swoje służby

Pracę w Dziale Mierniczym KGHM rozpoczął w okresie, gdy kombinatem zarządzał Tadeusz Zastawnik, a PBKRM opanowało już sytuację kryzysową związaną z zatapianiem szybów L-1 i L-2. Do dziś pamięta, że zaledwie miesiąc po objęciu funkcji przez dyrektora Zastawnika, do Lubina przyjechali premier Józef Cy-

rankiewicz i I Sekretarz KC Władysław Gomułka. To było w tamtych czasach duże wydarzenie, a młody stażem dyrektor znakomicie sobie poradził w roli gospodarza. J. Jurcenkę spotkał



Wrzesień 1962. I Sekretarz KC Władysław Gomułka i premier Józef Cyrankiewicz z wizytą w KGHM. Przed budynkiem dyrekcji KGHM delegację wita dyrektor naczelny Tadeusz Zastawnik.

nawet zaszczyt przyjęcia do pracy przez samego dyrektora Zastawnika, z czym wiąże się także zabawne nieporozumienie.

Po wstępnej rozmowie dyr. Zastawnik zapytał mnie czy piję, co ja odebrałem jako propozycję poczęstunku wodą, kawą czy herbatą. Byłem mocno stremowany, a jak na ironię w tamtym czasie alkoholu w ogóle nie piłem. Odpowiedziałem, że „tak”, wówczas dyrektor odparł: „O kolego! Jak pan będzie pił, to długo miejsca u mnie nie zagrzeje. Byli tacy, co pili i dzisiaj już tu nie pracują”. Szybko wyjaśniłem co miałem na myśli mówiąc „tak”. Dyrektor roześmiał się tylko, po stażu zostałem pracownikiem KGHM.

Dział mierniczy w tamtym czasie organizował Kazimierz Fochtman, który z grupą 13 osób został przysłany ze starego zagłębia. Wcześniej, w latach 1961 – 1962, pracę w dziale mierniczym podjęli Jan Zagórski, Bolesław Styrań i Bazyli Bowanko.

Kazimierz Fochtman bardzo dbał o to, byśmy mieli odpowiednie warunki pracy, okazywał nam wiele serca w życiu prywatnym, chociaż był od nas dużo starszy i mógłby być naszym ojcem.

Początkowo stosunek górników do służb mierniczych był nieufny. W pierwszej kolejności na Miedź ściągnęli ludzie ze starego zagłębia, część ze Śląska, związana z górnictwem węgla, rud żelaza, ołowiu czy cynku. Młodzi geodeci nie mieli doświadczenia i musieli bezustannie udowadniać, że podołają wyzwaniom. Nie wszyscy

w nich wierzyli, stąd pojawiły się zakusy, aby do obsługi głębinnych szybów i montażu urządzeń wyciągowych ściągnąć Przedsiębiorstwo Miernictwa Górniczego z Bytomia, które miało doświadczoną kadrę.

Dyrektor Zastawnik nie zgodził się na taką propozycję, i na tym między innymi polegała jego wyjątkowość. Cenił fachowość inż. Fochtmana i dlatego nawet te bardzo trudne zadania nam powierzał, pozwalał, byśmy je samodzielnie rozwiązywali.

■ Historyczny pomiar

Pierwsze prace geodetów związane były z obsługą geodezyjną wznoszonych obiektów na powierzchni. Najpierw były to obiekty przy-szybowe, szatnie i łaźnie tymczasowe wznoszone przez PBKRM, a w II połowie lat 60. obiekty stałe, towarzyszące kopalni.

Przedsiębiorstwem wiodącym, czyli generalnym wykonawcą, było Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Lubin. Pracowało tam wielu wspaniałych ludzi, z którymi miałem przyjemność się poznać i nawet współpracować. Przygodę z kopalnią zaczynałem za czasów panowania w PBK dyr. Włodzimierza Grodzickiego, jego zastępcą ds. technicznych był Włodzimierz Sztukowski. Później poznałem jeszcze wielu innych znakomitych fachowców, takich jak inż. Lengas, Jerzy Kromołowski czy Jan Ulrich, Wła-

Spotkanie towarzyskie po uruchomieniu kopalni „Polkowice”. Na zdjęciu od lewej: Henryk Olejnik, Jan Jurcenko, dyrektor inwestycji Leszek Jaglarz, zawiadowca PBKRM Lubin Jan Ulrich, Andrzej Gromnicki.



dysław Serafin, inż. Kopeć, inż. Broś, prawdziwych budowniczych zagłębia miedziowego.

W dniu 30 grudnia 1963 r., po 1138 dniach, zakończono głębienie pierwszego w KGHM szybu L-3, nazwanego później Szybem „Bolesław”. Jan Jurczenko miał szczęście, bo właśnie jemu przypadło w udziale potwierdzenie tego historycznego faktu.

– Gdy szyb został zgłębiony do ostatecznej głębokości, pojechałem tam ze starszym kolegą. Zmierzyliśmy jego głębokość, pamiętam jak dziś, że było 754 metry do spągu szybu. Po wyjeździe inż. Ulrich stwierdził, że ten fakt trzeba jakoś uczcić i poczęstował wszystkich trunkiem dobrego gatunku. Dla Jana Jurczenki był to pierwszy w życiu kieliszek koniaku.

– Będąc w nadzorze inwestycyjnym, w czasie głębienia szybów spotykałem się z górnikami, którzy je bezpośrednio dźżyli. Chociaż minęło już prawie pół wieku, wielu z nich pamiętam do dziś, wśród nich m.in. przodowych braci Holcmanów, Wojciechowskiego, Wieczorka, Skrzyńiarza, Chudzika czy Lewińskiego. Byli to ludzie bardzo odważni, pracowali przecież w niebezpiecznych i nieprzewidywalnych warunkach, i mimo pewnej szorstkości w obyciu, zawsze życzliwi dla innych. Szanowaliśmy się wzajemnie i gdy później spotykałem się z nimi, rozmawialiśmy jak dobrzy znajomi.

W pierwszych latach dział mierniczy funkcjonował przy dyrekcji kombinatu. W 1965 r., gdy powstały dyrekcje nadzoru i budowy ZG Lubin oraz ZG Polkowice, Kazimierz Fochtmann podzielił swój personel na dwie grupy. Pierwsza przydzielona została do obsługi kopalni „Lubin”, druga do kopalni „Polkowice”. J. Jurczenko trafił do grupy ZG Polkowice, razem z Bolesławem Styrałem.

Dwa lata później dyr. Zastawnik formalnie potwierdził ten podział, i w ten sposób J. Jurczenko stał się pracownikiem ZG Polkowice, kierownikiem działu został B. Styrał, w latach 1975–1990 główny mierniczy KGHM. Dyrektorem Kopalni był wówczas Wiesław Trzak, którego po roku zastąpił Stanisław Golemo.

■ Docenić pamięć

W okresie pracy w kopalni „Polkowice”, za namową kolegów, pełnił funkcję szefa związków zawodowych. Kiedyś delegacja w składzie dyr. Golemo, sekretarz organizacji partyjnej, on i członek

załogi wybrali się w dniu imienin Tadeusza z życzeniami do zarządu. W sekretariacie pani Poczuć kazała im poczekać. Gdy dyr. Zastawnik wyszedł z gabinetu, spytał: „Co tu robicie, to nie jest święto państwowe, tylko moje imieniny i wy macie być w pracy, a nie przyjeżdżać tu na wycieczkę” – powiedział i kazał wracać na kopalnię.

– Był człowiekiem łagodnym a zarazem surowym, niezwykle sumiennym i z dużym poczuciem humoru. Miałem okazję zetknięcia się z dyrektorem Zastawnikiem w dość nietypowej sytuacji. Na początku lat 70., zgodnie ze zwyczajem, została wybrana delegacja z kopalni do składania w Warszawie życzeń dostojnikom z Ministerstwa Hutnictwa, Górnictwa i Państwowej Rady Górnictwa. W budynku ministerstwa hutnictwa natknąłem się w łazience na dyr. Zastawnika: „Patrz pan kolego (to był jego ulubiony zwrot)! Muszę się tutaj przebrać w mundur galowy, bo nie ma innego miejsca” – żartobliwie skomentował swoje niekomfortowe położenie. My wszyscy, którzy pracowaliśmy z nim przez te 13 lat jego „panowania”, wiemy jak bardzo swoim wizerunkiem odbiegał od następców. Nie było wtedy rzeczników. Na spotkaniach, gdy padały nawet trudne pytania, żartował i umiał celnie oraz fachowo odpowiedzieć. Myślałem, że dziś niewiele osób zdaje sobie sprawę, z jakim człowiekiem mieliśmy do czynienia i ile nasz region mu zawdzięcza.

Z tego względu Koło Seniora SITG wystąpiło z propozycją nazwania jednej z kopalń jego imieniem. Odpowiedziano im, że całą kopalnię nie można tak nazwać, ale jeden z szybów ma otrzymać imię „dr inż. Tadeusz Zastawnik.”

■ Słyszeli młockarnie...

W latach 60. tereny LGOM były bardzo zaniedbane, nie było nawet bitych dróg. Dział mierniczy dysponował samochodem terenowym, tzw. stonką. Dzięki niej docierali do miejsca pracy. Rano ładowali na stonkę sprzęt i rozjeżdżali się po terenie.

– Polkowice w tamtym czasie, to była symptomatyczna wieś z restauracją „Barbórka” i z mleczarnią, w której wytwarzano bardzo dobrą masłankę. Gdy w 1966 r. z biuromi mierniczym przeprowadziliśmy się do jednego z zakładowych hoteli w Polkowicach, jesienią słyszeliśmy, jak podczas żniw pracują młockarnie. Większość mieszkańców zajmowała się rolnictwem,

bo nie było żadnego przemysłu, nawet rynek nie był jeszcze skanalizowany.

■ Nie zmierzili rekordu

Z racji funkcji zawodowych dochodziło czasami do konfliktów między geodetami a górnikami. Załogi przedsiębiorstw w latach 60. i 70. często zgłaszały próby bicia różnych rekordów. Pewnego razu brygada z PBKRM, która drążyła chodnik, zadeklarowała rekord, który miał polegać na wydrążeniu 300 m chodnika. Na koniec miesiąca ogłosili, że zadanie wykonali, ale byli

wybrnął z sytuacji oznajmiając nam, że jeździ, ale tylko pod klapę i dalej stoi. Niestety, nie mieliśmy możliwości zweryfikowania tego, a tymczasem z zarządu kombinatu natarczywie wydzwaniał gł. mierniczy i pytał o wyniki. Zrobiło się bardzo nerwowo i nie pamiętam, jak się to skończyło, czy rekord ostatecznie został uznany czy też nie.

■ Nowe wyzwania

W 1969 r. dyrektorem kopalni „Polkowice” został Tadeusz Babisz, który ponoć niezbyt lubił związkowców. Wprawdzie J. Jurczenko sam już nie był szefem związku (po oddaniu kopalni do eksploatacji musiałyby przejść na etat związkowy, a nie chciał rezygnować z pracy w zawodzie), ale i tak spotykały go różne przykrości. Gdy została mu wypowiedziana grupa premiowania, potraktował to jako wypowiedzenie pracy i zgłosił się do ZG Rudna. Podczas wstępnej rozmowy dyrektor Włodzimierz Mięśowicz zapytał go, czy pracował przy głębinie szybu i od razu



Grupa miernicza ZG Polkowice przy ustawianiu kół linowych maszyny wyciągowej na szybu P.I. Na zdjęciu od lewej: Bolesław Pawłowski, Jan Jurczenko i przy teodolicie Paweł Boryk.

podejrzenia, że to nie musi być prawda. Ostatniego dnia miesiąca tradycyjnie dokonywano odbiorów i mierniczowie chcieli przeprowadzić pomiary, ale uniemożliwiano im zjazd kubleń na dół.

– Najpierw powiedziano nam, że jest awaria urządzeń wyciągowych. Poszliśmy na szyb, aby to sprawdzić i widzimy, że kubeł jeździ. Powiedziałem do kierownika: „Panie inżynierze, przecież kubeł jeździ”. Ten się zmieszał, choć

przyjął do pracy. Szefem geodetów był Józef Zborowski, a J. Jurczenko został jego zastępcą i na tym stanowisku pracował do 1991 r., tj. do czasu przejścia na emeryturę.

– Zarówno dyr. Mięśowicz jak i J. Zborowski byli wspaniałymi ludźmi, nie można złego słowa o nich powiedzieć. Robota była podobna do tej w kopalni „Polkowice”, z tym że teraz bardziej zajmowałem się pracą w sztabie, a na szyby jeździli młodzi geodeci, którzy przyszli po AGH. Moim zadaniem były też przez jakiś czas podstawowe pomiary na dole, następnie długo zajmowałem się problematyką ochrony powierzchni, czyli wpływem eksploatacji na powierzchnię.

■ Ciepłota na Lenina

W latach 70. i 80. w Polkowicach zaczęły się nasilać wstrząsy górnicze. Na starych budynkach pojawiały się zarysowania, na nowych blokach pęknięcia. Kopalnia wprawdzie przekazywała warunki zabudowy, w jakich powinno się wznosić obiekty na terenach górniczych, ale wykonawstwo pozostawiało wiele do życzenia.

Ludzie odczuwali duży dyskomfort, szczególnie uciążliwe były wstrząsy nocne.

W latach 80. ktoś zaproponował karkołomną koncepcję przesiedlenia mieszkańców 6 wieżowców w Polkowicach do Chocianowa, gdzie miało zostać wybudowane dla nich specjalne miasteczko. Jednak nie doszło do tego. Mając na uwadze bezpieczeństwo mieszkańców wieżowców, wzmocniono ich konstrukcję przez dobudowanie odpowiednich pylonów oraz wzmocnienie ścian wewnątrz budynku.

– Gdy wykonywaliśmy te prace, w mieszkaniach bardzo się kurżyło, co mocno denerwowało lokatorów. Pracowników ZRM spotykały różne przykrości, mieszkańcy chowali im sprzęt, czasami oblewali ich wrzątkiem. Górnicy natomiast irytowali się, bo po nocnej zmianie nie mogli wypocząć. Pewnego razu jeden z nich przyszedł do dyrektora kopalni i stanowczo zażądał nowego mieszkania, bo jak twierdził, jego żona bardzo się stresuje i obawia się, że wyskoczy przez okno. Dyrektora, który miał trudny dzień, żądanie zirytowało i polecił górnikowi, aby przywiązał żonę do czegoś. Ten polecił ze skargą do komitetu partyjnego i dyrektor musiał się mocno z tego

tłumaczyć. Jeszcze inni pisali skargi do władz centralnych donosząc, że Polkowicom grozi zagłada, że jest bardzo niebezpiecznie.

Po wzmocnieniu wieżowców przecinano długie, czteropiętrowe budynki przy dawnej ulicy Lenina, obecnie 3 Maja. Wprawdzie projektant uwzględnił warunki górnicze i wykonał szczeliny dylatacyjne, które miały od 8 do 12 cm, ale później je zabetonowano. Gdy z czasem grunt zaczął osiadać, budynki pękały. Ciepłymi więc beton w tych szczelinach specjalnymi piłami, o czym głośno było w całym kraju.

Po przejściu na emeryturę J. Jurczenko otrzymał propozycję pracy na część etatu i w kopalni „Rudna” zajmował się ochroną powierzchni. W 1994 r. zaoferowano mu pracę w zarządzie KGHM Polska Miedź S.A. Na prośbę Wojciecha Maślanki, który był dyr. Departamentu Gospodarki Zasobami i Ochrony Powierzchni, organizował Dział Ochrony Powierzchni i Szkód Górniczych w nowych strukturach przedsiębiorstwa, w którym pracował do 2004 r. jako gł. inż. ds. szkód górniczych. Osiem lat temu ostatecznie zakończył zawodową działalność. ■

Że język miał cięty, to nie zastanawiając się wiele, jeszcze na scenie zapytał głośno: „To wszystko? A gdzie tu jakieś 1000 zł, czy choćby stówka?”. Następnego dnia dyrekcja naprawiła swój błąd, bo Kazimierz Półtorak był nie tylko cenionym spawaczem, ale i „złotą raczką”

Kazimierz Półtorak,
spawacz z ZG Lubin.
Pracował
w latach 1966–1982



Kowal z „Bolesława”

Jest człowiekiem wielu talentów, o niesfor-
nym charakterze i rogatej duszy. Umiał upo-
minać się o swoje, ale w życiu zawsze kierował
się maksymą, że człowiekiem trzeba być, a nie
tylko się nim urodzić. Jak wspomina, nie stronił
też od rozrywek i dziwi się, że jego małżonka to
wszystko wytrzymała. Dzisiaj jest jej za to bar-
dzo wdzięczny.

Przed wojną mieszkał 1,5 km od niemieckiej
granicy, w miejscowości Silno w gminie Choj-
nice, dziś woj. pomorskie. Od najmłodszych
lat przejawiał zdolności manualne, dlatego też
ojczym bardzo wcześnie wysłał go na naukę za-
wodu do swojego kolegi kowala. Nie przypusz-
czał nawet, jak istotną rolę w jego życiu odegra
ten fakt. Potem ukończył dwuletnią szkołę za-
wodową w Chojnicach, następnie 7-miesięczną
szkołę nadzorców na Politechnice Gdańskiej.
Po skończeniu nauki rozpoczął pracę w melio-
racjach wodnych. Kiedy jednak w Chojnicach
ogłoszono zaciąg pionierski, zgłosił się bez wa-
hania. Skierowano go do miejscowości Orneto
koło Braniewa, tam biegał z latą, odmierzając
z geodetami lotnisko. Stamtąd trafił do woj-
ska i potem wrócił do Silna. W Ciechocinie
poznał przyszłą małżonkę, po ślubie w 1960
roku wyjechali do Legnicy. Tym razem zache-
pił się w Spółdzielni Pracy „Mechanik”, jako

robotnik i nauczyciel zawodu uczył ślusarstwa
podopiecznych z Domu Poprawczego w Jerz-
manicach. W spółdzielni zdobył uprawnienia
zawodowe z metaloznawstwa.

■ Trzy dniówki za jeden dzień

W 1966 r. rozpoczął pracę w Przedsiębior-
stwie Budowy Kopalń Rud w Częstochowie,
które w tamtym czasie wykonywało roboty na
pierwszym szybie kopalni „Lubin”, zwanym póź-
niej „Bolesław”. Miał opanowany rysunek tech-
niczny, metaloplastykę i kowalstwo, nauczył się
też spawania. Za te umiejętności pewnego razu
w jeden dzień zarobił tyle, co za trzy dniówki.

– Na „Bolesławie” mieliśmy warsztat, w któ-
rym wtedy robiło się łomy, taczki i zsyipy. Pew-
nego dnia z rana zrobiłem rysunek, co widział
gł. mechanik Mieczysław Siemiński. Po pewnym
czasie wrócił i zobaczył, że tnę blachę. Umiałem
pracować na automatycznym młocie, który na
co dzień obsługiwali dwaj kowale: Mada oraz
Sutkowski. Podczas ich nieobecności ja stawa-
łem przy młocie. Gdy Siemiński zobaczył mnie
przy trzeciej tego dnia robocie, podszedł do
mnie i powiedział, że za dzisiejszy dzień naliczy
mi trzy stawki.

Znajomość z inż. Siemińskim zaowocowa-
ła nie tylko tymi trzema dniówkami. Jakiś czas

później zaproponował K. Półtorakowi stanowisko spawacza. Początkowo nie chciał się zgodzić, bo wołał kowalstwo, inżynier jednak był uparty i tak długo podbijał stawkę, aż pan Kazimierz się ugiał, gdyż w tamtym okresie 88 zł na dniówkę nie miał nikt. Przeszedł do służby utrzymania ruchu, ale nadal pracował na szybie „Bolesław”.

– Moim kierownikiem został inż. Henryk Brodowski, rodowity warszawiak i złoty człowiek. Potrafił drugiego uszanować, pomagał jak tylko mógł, z życzliwością odnosił się do wszystkich. To właśnie od niego przyjąłem maksymę życiową: „Człowiekiem trzeba być, a nie tylko się nim urodzić”. W czasach budowy kopalni, gdzie szerokim nurtem napływali ludzie z różnych stron Polski, to nie było łatwe – mówi K. Półtorak.

■ Prezent dla spóźnionych

29 września 1967 r. na poziomie 610 nastąpiło połączenie szybu L-3 „Bolesław” z szybami głównymi L-1 i L-2. Historycznego zbiecia przekopem między Lubinem Głównym, a Lubinem Wschodnim dokonali pracownicy PBKR Częstochowa.

– Z tej okazji z kombinatu przyjechało mnóstwo „białych helmów”. Akurat pracowałem na nocnej zmianie z Anią Stankowiak. Na zakładowej stołówce przygotowano przyjęcie. Pamiętam, że jeden karton z wódką schowałem na nadszymbiu. Po zbieciu goście wyjechali z dołu i poszli na stołówkę. Około 2. w nocy na powierzchnię wyjechała ostatnia grupa górników. Okropnie zmęczeni sunęli noga za nogą, ciągnąc po ziemi swoje „szachciaki”. Stołówka była już pusta, nie było dla nich ani zupy, ani żadnych napojów. Wtedy wpadłem na pomysł, aby ich poczęstować schowanym alkoholem. Gdy ostatniemu górnikowi wręczyłem butelkę, ten podniósł ją do góry i pocałował. Bardzo dziękował, bo dzięki temu mogli, choć dużo skromnie, też uczcić sukces.

■ Trudne początki przyjaźni

W pracy pan Kazimierz miał ugruntowaną pozycję, często wykorzystywał swoje umiejętności kowalskie i spawalnicze. Dzięki opinii „złotej rączki”, oprócz obowiązków zawodowych, wykonywał wiele innych rzeczy, np. kuł z miedzi kilofki i inne gadzety, bramy, czasami obręcz na beczki, przede wszystkim dlatego, że lubił tę kowalską robotę.

Gdy 15 kwietnia 1971 r. PBKRM przeniosło się na inny szyb, on przeszedł do ZG Lubin, na Oddział Podszadzkowy, ale nie zmienił miejsca i w dalszym ciągu pracował na „Bolesławie”. Jak wyjaśnia, ciągle mieszkał w Legnicy i nie pasowały mu dojazdy na nowe miejsce, a trafił na ten oddział, bo miał uprawnienia do spawania wysokociśnieniowego.

Spawał rurociągi do podsadzki, co nie było łatwym zadaniem. W tamtych czasach brakowało kolan, króćców, sztukówek, rozgałęźników. Wszystko robiło się samemu, co było dużym wysiłkiem. Dopiero po kilku latach pojawiły się odlewy tych elementów, bo zwiększyły się gabaryty rurociągów i były za ciężkie dla ludzi. Wprawdzie jego warsztat znajdował się na górze, ale często, gdy zachodziła taka potrzeba, zjeżdżał na dół i tam spawał.

Kierownikiem pana Kazimierza był Henryk Sikora, z którym kiedyś doszło do poważnej scysji, o mało nie zakończonej zwolnieniem dyscyplinarnym. Kierownik był człowiekiem o surowych zasadach, czasami nawet aż do przesady.

– Pewnego dnia dowódca Straży Przemysłowej Henryk Bobowski przyniósł mi do pospawania elementy piecyka gazowego i jednocześnie w formie podziękowania butelkę samogonu, którą postawił na stole – wspomina pamiętny incydent. – Zająłem się pracą i zapomniałem ją schować. Tymczasem kierownik Sikora wyjechał na powierzchnię, wszedł do warsztatu i sądząc, że to butelka z wodą, pociągnął potężny łyk. Zakrztusił się, bo samogon miał swoją moc i strasznie się zdenerwował. Kazał mi iść ze sobą na wartownię i tam zgłosił, że piję w pracy alkohol. Dowódca warty chciał sytuację załagodzić, ale kierownik był uparty i sprawa trafiła do nadsztygara Władysława Kaczmarka i w końcu do dyrektora. Sikora domagał się, aby mnie zwolniono, ale Kaczmarek mnie bronił, bo wiedział co potrafię. Podszedłem wtedy do Sikory i po cichu mu powiedziałem: „Słuchaj, jak mnie zwolnią, to położę się przed bramą kopalni i na kartce napiszę jak się nazywam i przez kogo oraz dlaczego straciłem pracę. Gwarantuję Ci, że wtedy nie będziesz miał łatwego życia”. Dopiero wtedy ustąpił, a później nawet został moim serdecznym przyjacielem.

■ Z ciętym językiem

W 1968 r. w kombinacie urządzono spotkanie z wyróżnionymi pracownikami, na które

zaproszono także pana Kazimierza. Przyszedł z małżonką, jak wielu innych. Na scenie wręczało po kolei dyplomy i nagrody rzeczowe.

– Niestety, trafił mi się tylko list pochwalny, co mnie do końca nie usatysfakcjonowało – opowiada K. Półtorak. – A ponieważ miałem ciężki język, nie zastanawiając się długo jeszcze na scenie głośno zapytałem: To wszystko? A gdzie tu jakieś 1000 zł, czy choćby stówka? Moja małżonka ogromnie się zdenerwowała i zapowiedziała, że już nigdy więcej nie pójdzie ze mną na żadne spotkanie. Następnego dnia zostałem wezwany do dyrekcji i muszę przyznać, że siedłem tam z duszą na ramieniu. Ku mojemu zdumieniu dyrektor wręczył mi kopertę z 1000 zł w środku. A jednak warto było upomnieć się o swoje.

■ Wypadek

W 1979 r. pan Kazimierz uległ wypadkowi, który zakończył jego karierę zawodową. Był na dole, nadjeżdżała maszyna, a on chciał przesunąć pojemnik ze śrubami. Szarpnął, niestety blacha zablokowała pojemnik, a on upadł tak nieszczęśliwie, że maszyna przejechała mu przez plecy i uszkodziła kręgosłup. Kłopoty zdrowotne skumulowały się, bo kilka lat wcześniej miał uraz kręgu szyjnego. Wyszło to na jaw dopiero teraz. Po trzech latach leczenia został skierowany na rentę.

Jest bardzo aktywnym członkiem zarządu Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych Koła Miejskiego w Lubinie.

– W czasie II wojny światowej, jako kilkulatni chłopiec, trafiłem do obozu hitlerowskie-

go w Potulicach, bo razem z mamą wpadłem podczas łapanki w miejscowości Windorf, gdy uciekaliśmy z Silna. Z tego powodu nabyłem uprawnienia kombatanckie. Cenię sobie przynależność do tej organizacji, ponieważ dzięki temu mogę pomagać innym kombatantom znajdującym się w trudnych sytuacjach życiowych. Przychodzę więc do zarządu w każdy wtorek i z pomocą dwóch pań staram się wszystko uporządkować i załatwiać bieżące sprawy.

W wolnych chwilach pan Kazimierz zapałem wędkuje. O jego przygodach orazoczynach wędkarskich – jak mówi – można by niejedną książkę napisać. – Ale ja jestem tylko zwykłym kowalem, ślusarzem i gdzie mi pisać książki – dodaje. ■

Pamiętne były wizyty towarzysza Kostina, ministra „cwietnoj metalurgii” z ZSRR. Gdy popił za dużo, robił się markotny, wtedy wzywano mnie: „Grzegorz dawaj kronikę!”, a ja wiedziałem o co chodzi. Przynosiłem Kronikę Polskiej Miedzi i otwierałem na stronie 78, z pięknym zdjęciem ministra. Działo to na niego za każdym razem, momentalnie mu się humor poprawiał.

Janina Rzeska,
starsza specjalistka
Wydziału Organizacji
Rachunkowości,
Sprawozdawczości
Finansowej i Konsolidacji
w Biurze Zarządu
KGHM. Pracowała
w latach 1973-2004



Grzegorz Rzeski,
zastępca naczelnika
Wydziału Administracji
w dyrekcji KGHM.
Pracował w latach
1972-1990

Mój drugi dom

Miało być całkiem inaczej. Po maturze w jacińskim Liceum Ogólnokształcącym, Grzegorz Rzeski wyjechał do Wrocławia na studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej. Janina (używa imienia Nina), jego dziewczyna z tej samej szkoły, zapisała się we Wrocławiu na roczny kurs kreślarski, z myślą o rozpoczęciu w następnym roku studiów politechnicznych, na wydziale budownictwa lądowego. Jednak kiedy okazało się, że jest w ciąży, Grzegorz przerwał studia, ponieważ czuł się odpowiedzialny za utrzymanie rodziny.

■ Toż to Kanada, dzieci!

W tym czasie, w latach sześćdziesiątych, w Polsce największe szanse na urządzenie się, czyli na dobrą pracę i mieszkanie, dawały młodym ludziom cztery rozwijające się ośrodki przemysłowe: Police, Puławy, Bełchatów i Lubin. Wybrali Lubin za namową kolegi, który

pracował w Defilu – Dolnośląskiej Fabryce Instrumentów Lutniczych.

– Często wspominamy nasze pierwsze wrażenia po przyjeździe – mówi pani Nina. – Był rok 1967. Zajechaliśmy wieczorem, przywiózł nas, razem z meblami, swoim samochodem mój tata. Zajeżdżamy na ulicę Tysiąclecia pod blok, w którym wynajęliśmy sublokatorkę. Ulica rozświetlona, kolorowe neony na sklepach. Tata patrzy na to wszystko zachwycony i mówi: „Dzieci, toż to przecież Kanada!”. Śmiejemy się, że w porównaniu do naszego Jaraczewa, to rzeczywiście była Kanada. Ale tylko ta, wówczas główna, ulica miasta tak pięknie wyglądała.

Realia szybko ostudziły pierwszy entuzjazm. W lutym 1968 roku urodził się syn Borys. O pracę, przynajmniej na stanowiskach nierobotniczych, wcale nie było łatwo. Pan Grzegorz przez pół roku szukał zatrudnienia. W końcu zdesperowany napisał skargę do wojewody wrocław-

skiego Bolesława Karsta. Ten poruszył Komitet Miejski PZPR w Lubinie, a ten z kolei interweniował w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, gdzie ostatecznie znalazło się stanowisko w wydziale komunikacji. Jednak niedługo zajmował się rejestracją pojazdów, dwa miesiące później został przeniesiony służbowo do przedsiębiorstwa o nazwie: Miejski Handel Detaliczny. Tam powierzono mu nadzór inwestorski nad budującą się, i potem będącą w rozruchu piekarnią przy ul. Chocianowskiej, a także nad modernizacją garmazerni.

W 1970 roku utworzono Lubinśki Zakład Gastronomiczny, a jego prezesem został Józef Bober, wcześniej zastępca dyrektora MHD. Wówczas miał dobre zdanie o swoim podwładnym Grzegorzu Rzeskim, skoro zaproponował mu stanowisko szefa administracji nowego przedsiębiorstwa. Pan Grzegorz zgodził się, ale po dwóch latach zrezygnował z powodu słabych zarobków. Rodzina powiększała się, a co za tym idzie rosły wydatki. Po raz pierwszy i jedyny w swojej karierze zawodowej sam wypowiedział pracę, by przejść do Zakładów Górniczych Lubin na zastępcę kierownika administracji.

Ze zdobyciem dachu nad głową dla ludzi spoza kombinatu nie było łatwo. Władze miejskie przyznały Rzeskim miejsce w tzw. samotniaku, przy ul. Drzymały, dopiero kiedy pan Grzegorz pracował w MHD. I w tym przypadku nie obyło się bez interwencji.

■ Sami swoi w KGHM

Dla pani Niny pierwszym miejscem pracy w Lubinie było Przedsiębiorstwo Komunikacji Samochodowej, którym kierował Stanisław Kulczyński, krajan z Jarocina i absolwent tego samego Liceum Ogólnokształcącego. Do dzisiaj przechowuje legitymację służbową PKS, z datą wydania 18 stycznia 1969 rok. Najpierw kierowała świetlicą zakładową, później została starszym referentem ekonomicznym w księgowości. Po urodzeniu w 1970 roku córki Małgorzaty, szybko musiała wrócić do pracy. O bezpłatnym urlopie nie było co marzyć, bo z jednej niewielkiej pensji męża trudno się było utrzymać.

Materialnie polepszyło się im, kiedy oboje zaczęli pracować „w miedzi”. Pani Nina od listopada 1973 roku. Formalnie była na etacie Zakładu Doświadczalnego „Cuprum”, a faktycznie pracowała w dyrekcji Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lubinie. Liczyła płace biura zarządu, które wtedy jeszcze nazywało się dyrekcją. I tu ciekawostka – znowu do pracy przyjmował ja krajan z tego samego LO Franciszek Antoniewicz, główny księgowy kombinatu. Absolwentem jarocińskiego LO okazał się także Tadeusz Harędzki z pionu ekonomicznego dyrekcji i Andrzeja Banaszak, geolog, także później członek zarządu KGHM.

– Za czasów dyrektora Tadeusza Zastawnika – wspomina – pracowało się nam bardzo dobrze, ze względu na przyjazną atmosferę między pracownikami i życzliwość szefów. Byliśmy bardziej otwarci na siebie, znaliśmy swoje zarobki, a listy premii, nagród i trzynastych pensji były wywieszane na tablicy ogłoszeń. Pod koniec mojej pracy zawodowej wyglądało to zupełnie inaczej: duża nerwowość, rywalizacja, anonimowość, podejrzliwość.

Przez te wszystkie lata całkowicie zmienił się także charakter pracy. W PKS



Centralna karczma barbórkowa KGHM w 1984 roku. Z Rzeskim, Kazimierz Mrozek (siedzi), główny inżynier ds. tąpnięć.

posługiwano się zwykłymi liczydłami, potem kręciolkami (mała maszynka na korbkę), sumatorami. W KGHM dużym ułatwieniem było pojawienie się maszyn księgujących. Kolejnym etapem postępu w kombinackiej księgowości stało się powołanie COPI (Centralny Ośrodek Przetwarzania Informacji).

- Tam się nosiło dokumenty księgowe i tam były przetwarzane - opowiada. - Później przeszedł do Działu Sprawozdawczości Zbiorczej i Organizacji Rachunkowości. Moją szefową była pani Wiktoria Śliwińska, a po jej przejściu na emeryturę, Ludmiła Mordylak. Nasz dział, zatrudniający przeciętnie od 4 do 5 osób, czuwał nad organizacją rachunkowości w pionie Głównego Księgowego oraz sporządzał sprawozdania zbiorcze na potrzeby Głównego Urzędu Statystycznego. Co miesiąc przywożono nam sprawozdania i inne dokumenty finansowo-księgowe z 17 oddziałów KGHM, a my przy pomocy kalkulatorów sumowałyśmy pozycję po pozycji. Wszystko nanosiło się „na piechotę” do specjalnie przygotowanych tabel, następnie trzeba było te wszystkie dane poddać analizie i zrobić miesięczne i roczne zestawienie zbiorcze. Pamiętam, że tych arkuszy sprawozdawczych był ogrom. Oprócz miesięcznych sprawozdań sporządzaliśmy bilanse: półroczny i roczny. To była naprawdę mordercza praca, gdy zbliżał się termin kończenia sprawozdań, regułą było pozostawanie po godzinach. Pod koniec roku, przy bilansie, trwało to przez dwa tygodnie od rana do zmroku.

■ Wiza do La Vegas

W 1984 roku pani Nina znalazła się w poważnych tarapatach zdrowotnych, z powodu pęknięcia wrzodu na dwunastnicy. Lekarze cudem ją odratowali, ale straciła dwie trzecie żołądka. Potem przyplątało się jeszcze kilka innych chorób. Uważa, że nie miały wpływ na jej zdrowie miał stresujący charakter pracy, ale jednocześnie przekonała się, że bez tej pracy trudno jej było wytrzymać:

- Rehabilitacja przeciągała się, siedziałam w domu, ale ciągle czułam się słaba. Jednak się nie poddałam, po półtora roku postanowiłam wrócić do pracy: ruch, kontakt z ludźmi - to pobudziło mnie do życia. Wróciłam do księgowości, konkretnie do Wydziału Księgowości i Rozliczeń Finansowych, zajmowałam się

przedmiotami nietrwałymi, aż do 1990 roku. Wtedy też pojawiła się okazja wyjazdu do USA. Zaprosiła mnie koleżanka, która oddawała swoją nerkę siostrze. Miałam im pomagać w okresie rekonwalescencji i zajmować się ich dziećmi. O dziwo, bez problemu dostałam wizę, ale mój pracodawca jednak nie chciał udzielić bezpłatnego urlopu. Postawiłam wszystko na jedną kartę i zwolniłam się z KGHM, bo bardzo chciałam skorzystać z tej, być może jedynej, okazji w życiu, by zobaczyć Amerykę. Operacja przebiegła szczęśliwie, ja byłam bardzo zadowolona z pobytu, gdyż traktowano mnie jak członka rodziny. Udało się mi też trochę pozwiedzać, zobaczyłam m.in. Nowy Jork, Las Vegas i polonijną Częstochowę w Pensylwanii.

■ Raporty na medal

Pół roku później pani Nina była już z powrotem w domu. Pomagała synowi w rozkręceniu własnego biznesu i czekała aż znajdzie się dla niej praca. Mówi, że wstyd jej było rejestrować się w pośredniaku, choć teraz wie że źle zrobiła, bo uciekło jej prawie dwa lata stażowego do emerytury. Pod koniec 1991 roku udało się powrócić do kombinackiej księgowości, tym razem na „środki trwałe”, ale szybko została przeniesiona do Departamentu Organizacji Rachunkowości, Sprawozdawczości Finansowej i Konsolidacji, skąd jedna z pań przeszła na emeryturę.

- Ogromnym postępem w naszej pracy było wprowadzenie systemów informatycznych - mówi Janina Rzeska. - Komputery zrewolucjonizowały sprawozdawczość. Od tej pory oddziały dostarczały nam sprawozdania na dyskietkach i dodatkowo w formie papierowej. Mieliśmy własnych informatyków, którzy tworzyli programy na użytek zbiorczej sprawozdawczości. W następnym etapie został wprowadzony program SAP. Mimo tych ułatwień, obciążenie psychiczne było coraz większe. Kiedy spółka weszła na giełdę, trzeba było sporządzać dodatkowo raporty giełdowe - to była spora odpowiedzialność i duży stres, ponieważ zdawałyśmy sobie sprawę, że każdy nasz błąd może spowodować reakcję na giełdzie. Za te raporty nasz zespół był wielokrotnie nagradzany. Niestety, moje zdrowie znowu zaczęło podupadać. Dlatego po półrocznym chorobowym zdecydowałam się, w 2004 roku, przejść na wcześniejszą emeryturę.

Na przyjęciu w restauracji NOT pożegnała się z koleżankami i kolegami. Każdy z gości otrzymał zaproszenie z takim oto tekstem: *Mnie tutaj w udziale przypadła zaszczytna praca przez długie 30 lat. Tu miałam pokój, biurko, koleżanki i kolegów. Przeżyłam przyjaźnie, radości, czasem smutki, różne spotkania, bale i wycieczki. I przyszła pora rozstania – czas na odpoczynek i wspomnienia.* Pani Nina przyznaje, że była i wciąż jest dziewczyną rozrywkową. Barbórki, zabawy, combry, wycieczki, rajdy to jej żywioł. Nadal chętnie uczestniczy w barbórkowych spotkaniach emerytowanych pracowników zarządu, które odbywają się pod koniec roku i cieszą się ogromnym powodzeniem. Przychodzi sporo emerytów, od sprzątaczek po dyrektorów. Co roku wyjeżdżają również na wspólne wycieczki.



Zakończenie pracy zawodowej nie było dla pani Niny tak bolesne jak dla jej męża. Ma ukochaną czwórkę wnucząt, którymi chętnie się zajmuje. A za swój najwspanialszy dzień w życiu uważa ten, kiedy szesnaście lat temu urodził się pierwszy, długo wyczekiwany, wnuczek Filip. Ponadto od 2006 roku społecznie udziela się w Stowarzyszeniu Emerytów i Rencistów Byłych Pracowników KGHM w Lubinie.

■ Usługiwałem Gierkowi

Pan Grzegorz wyznaje, że przejście na emeryturę przypłacił załamaniem i ciężką depresją.

Całe życie był niezwykle aktywny, wynikało to z jego usposobienia, a także charakteru pracy w pionie administracyjnym. Z ZG Lubin bardzo szybko został przeniesiony na polecenie Erazma Orzechowskiego, dyrektora KGHM, na takie samo stanowisko zastępcy kierownika administracji na szczelbu kombinackim, a po dwóch latach awansował na szefa administracji.

– Byłem naczelnikiem od wszystkiego – mówi. – Administrowałem całym kompleksem budynków na terenie obecnej miedziowej spółki, a także obiektami Górniczego Zespołu Opieki Zdrowotnej, podlegała mi gastronomia, personel hali maszyn, sekretariatów, służb porządkowych itd. Do moich obowiązków należało przyjmowanie wizyt gości z zewnątrz. Prawie bez przerwy podejmowaliśmy delegacje krajowe i zagraniczne różnych szczebli, od Gier-

ka po prezesa Manhattan Bank, który przyjechał ocenić wartość KGHM pod zastaw gierkowskiej pożyczki. Wszystkich lokowaliśmy w słynnym z pobytów notabli hotelu D-1. Pamiętam taką humorystyczną scenkę z pobytu Piotra Jaroszewicza i Edwarda Gierka, którzy mieli zjechać na dół. Przygotowaliśmy im odpowiednie górnicze ubiory, wcześniej upewniając się w Warszawie co do rozmiarów odzieży. Daliśmy

im do wyboru po kufajce i kozuchu. Kiedy obaj wyszli prawie jednocześnie ze swoich szatni, Gierek popatrzył na Jaroszewicza w kozuchu i skomentował: „Tylko bat ci dołożyć i możesz być woźnicą.” Pamiętne były też wizyty towarzysza Kostina, ministra „cwieternej metalurgii” z ZSRR. Gdy popił za dużo, robił się markotny, wtedy wzywano mnie: „Grzegorz dawaj kronikę!”, a ja wiedziałem o co chodzi. Przynosiłem Kronikę Polskiej Miedzi i otwierałem na stronie 78, z pięknym zdjęciem ministra. Działo to na niego za każdym razem, momentalnie mu się humor poprawiał.

■ Na depresję bezdomni

Pan Grzegorz uchodzi za człowieka-kopalnię ciekawostek i dykteryjek z życia peerelowskich notabli wizytujących Lubin i KGHM. Gdyby nie rok osiemdziesiąty, pewnie dotrwałby na swoim stanowisku do emerytury, ale tak się nie stało. Jak wielu innych rzucił legitymację partyjną i zbyt jawnie sprzyjał „Solidarności”. Po ogłoszeniu stanu wojennego dostał od swoich szefów polecenie przeprowadzenia procedur likwidacyjnych wszystkich związków zawodowych, co oznaczało zaplombowanie pomieszczeń i zabezpieczenie dokumentacji. Zasoby Międzyzakładowego Komitetu NSZZ „Solidarność” miały być spalone. Zamiast spalić, ukrył je na strychu w D-2, nad kinem. Ktoś jednak doniósł, mówi że wie kto.

– Byłem już w domu – wspomina – kiedy zadzwonił dyspozytor z informacją, że panowie ze służb chcą mnie widzieć i zaraz przysłać po mnie samochód. Ja na to, że wolę sam przyjechać, wsiadłem na rower i popedałowałem okrężną drogą, bo nie wiedziałem czego się po nich spodziewać. Nie było wyjścia, przyznałem się. Zabrali dokumenty a ja miałem z nimi przeprawę (przesłuchania, rozmowy), bo chcieli zrobić ze mnie wtyczkę za przymknięcie oka na to co zrobiłem z dokumentami „Solidarności”. Przyznaję,

że nigdy nie byłem działaczem solidarnościowego podziemia. Ale gdy zaszła potrzeba pomagalem. Dwa razy „przechowywałem” Jana Lityńskiego, także Stanisława Huskowskiego i Annę Walentynowicz. 13 maja 1982 roku wspólnie, m.in. z Grażyną Gulińską i Anielą Sakwą, zorganizowaliśmy mszę na stadionie miejskim w intencji zdrowia papieża Jana Pawła II. W 1985 roku usłyszałem od Edwarda Rippela, dyrektora pracowniczego KGHM: „Popełniłście towarzyszu błąd taktyczny i nie możecie być naczelnikiem.” Zostałem zdegradowany do szerebła zastępcy. Jakis czas później Witold Parchimowicz, dyrektor ds. ekonomicznych kombinatu i jednocześnie prezes MKS Zagłębie Lubin, zaproszonoł mi agencję restauracji Górniczego Ośrodka Sportowego. Nie podobało się to wielu osobom, i w 1990 roku pożegnałem się z KGHM w pierwszym rzucie zwolnień grupowych, na podstawie uchwały nr 32 Rady Ministrów. W sumie nieźle na tym finansowo skorzystałem, bo odpawy były wtedy dość hojne. Wkrótce zrezygnowałem z agencji GOS, i od Miejskiej Spółdzielni Zopatrzenia i Zbytu wydzierżawiłem restaurację „Dworcową”. Po dwunastu latach poddałem się, bo i rynek konsumenta się zmienił i zdrowie już było nie to. W 2004 roku zostałem emerytem, co niestety bardzo odchorowałem.



1977 rok. Delegacja „świetnoej metalurgii” z ZSRR w otoczeniu gospodarzy przed słynnym hotelem D-1. Czwarty od lewej min. Kostin. Drugi od prawej dyr. Włodzimierz Woźniczko. Grzegorz Rzeski na samej górze, przy drzwiach.

Skutecznym lekarstwem na depresję okazała się działalność społeczna. Grzegorz Rzeski należy do Stowarzyszenia Lubin 2006 i przede wszystkim zajmuje się bezdomnymi – jest prezesem lubińskiego koła Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta, które zostało założone z inicjatywy biskupa diecezji legnickiej Stefana Cichego. Obecnie zajmuje się urządzaniem noclegowni w dawnej izbie wytrzeźwień. ■

W samym zjeździe delegacji rządowej szybem R-1 nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że urządzenie wyciągowe w tym szybie nie było odebrane i dopuszczone do ruchu przez OUG.

Włodzimierz Mięśowicz, dyrektor budowniczy kopalni „Lubin”, „Rudna”, „Sieroszowice”. Pracował w latach 1969–1976



Gdy adrenalina szła w górę

Włodzimierz Mięśowicz, absolwent krakowskiej AGH, pierwsze doświadczenia zawodowe zdobywał w Przedsiębiorstwie Budowy Kopalni Rud Żelaza w Częstochowie. Do Lubina został przeniesiony w ramach tej samej firmy. Po dwóch latach objął funkcję dyrektora kopalni Lubin. Po jej uruchomieniu powierzono mu budowę kopalni Rudna, z którą ma najwięcej wspomnień.

■ Precyzyjnie i z optymizmem

Formalnie dyrektor naczelny KGHM, dr inż. Tadeusz Zastawnik, powołał Włodzimierza Mięśowicza na stanowisko dyrektora ZG Rudna w Budowie 1 czerwca 1969 r.

– Moim zadaniem było wybudowanie kopalni o parametrach większych od już istniejących kopalni w LGOM i to w krótszym czasie, bo w ciągu 4 lat. Wierzyłem, że sprostam temu wyzwaniu, ponieważ wykonawcy dysponowali doświadczoną kadrą i ambitną załogą, a także mieliśmy dobrze opracowaną dokumentację lokalizacji zaplecza wykonawców. To pozwoliło uniknąć kolizji obiektów tymczasowych z bu-

dynkami kopalni – nawiązuje do początków budowy Rudnej.

Jednym z pierwszych zadań było zorganizowanie zespołu nadzoru inwestorskiego. Chętnych do pracy nie brakowało. Zgłaszali się do dyrekcji budowy ludzie z nowego i starego zagłębia. Byli młodzi, ale już z doświadczeniem i zaangażowaniem, z umiejętnością współpracy między sobą i z wykonawcami. Pracowało się więc w atmosferze życzliwości, ale i ze świadomością dużej odpowiedzialności.

– Naczelny dyrektor KGHM cenił dobrą robotę i miał odwagę podejmowania decyzji ryzykując osobistą odpowiedzialnością. Tak było i w przypadku budowy kopalni „Rudna”, kiedy to dyrektor T. Zastawnik utworzył Zakłady Górnicze Rudna w Budowie, nie czekając na rozstrzygnięcia ministerialne – wspomina W. Mięśowicz. – Dzięki temu mogliśmy zatwierdzić dozór w Okręgowym Urzędzie Górniczym i działać jako samodzielny zakład. Decyzje resortowe o rozpoczęciu budowy „Rudnej” zostały wydane dopiero pod koniec lutego 1970 roku. Do tego czasu mieliśmy już wyznaczone

współrzedne szybu R-1, rozpoczęte roboty na placu szybów głównych i na zapleczu. Tak więc dzięki decyzji naczelnego, zysaliśmy 5 miesięcy czasu... Różnych dyrektorów i ministrów przeżyłem, ale tak wspianego zwierzchnika jakim był dyrektor Zastawnik, nie miałem. Nie faworyzował nikogo, był konsekwentny i ufał ludziom. Przy budowie „Rudnej” pozostawił mi pełną swobodę działania. Sprzyjało nam także górnicze szczęście. Roboty były prowadzone w dużym tempie, w wielu różnych branżach, a mimo tego nie było organizacyjnych kolizji. Mielśmy tylko jedną gigantyczną awarię, która mogła spowodować wielomiesięczne wstrzymanie robót. Była to awaria w szybie R-1; zapewne wielu kolegów dobrze to pamięta.

■ Na własne ryzyko

Do awarii doszło na głębokości 360 m. Na skutek pęknięcia rur mroźniowych górotwór się rozmroził, a to spowodowało, że spąg szybu był wyciskany z ogromną siłą. Resort powołał komisję specjalistów, która zaleciła domrożenie górotworu. Komisja zdecydowanie sprzeciwiła się drugiej koncepcji usunięcia awarii poprzez przystąpienie do natychmiastowego głębenia.

- Domrażanie górotworu - wyjaśnia dyrektor - oznaczałoby zatrzymanie robót na wiele miesięcy. Drugi sposób był ryzykowny, ale nie powodował zatrzymania budowy kopalni. W tej sytuacji, na osobistą odpowiedzialność i wbrew decyzji ministra, naczelny dyrektor Tadeusz Zastawnik i mgr inż. Tadeusz Glazór, dyrektor i kierownik ruchu zakładu PBKRM, podjęli śmiałą decyzję natychmiastowego zgłębienia zagrożonego odcinka bez domrażania górotworu. Dzięki tej śmiałej decyzji skutki awarii, która mogła zaważyć na dalszych losach kopalni, zostały błyskawicznie usunięte i terminy budowy uratowane.

■ „Ustawiania” i wizytacje

W pamięci przetrwał koszmarny narad z udziałem przedstawicieli różnych ówczesnych decydentów, a przede wszystkim kierownictwa resortu. Im mniej czasu pozostawało do oddania kopalni, tym wizytacje i narad było więcej, choć nie istniały żadne racjonalne powody. Narady, jak opowiada, zabierały czas, wymagały przygotowania wielu planów, map i informacji o przebiegu robót. Atmosfera tych narad była nerwowa i z reguły



Dyrektor Włodzimierz Mięśowicz (od lewej) z dyr. Tadeuszem Konkolskim na budowie kopalni „Rudna”.

kończyła się modnym wówczas i niemiałym w tonie „ustawianiem” dyrektora. Z czasem, dzięki filozoficznemu dystansowi Tadeusza Konkolskiego (zastępcy), dyr. Mięśowicz skutecznie „uodpornił” się na tzw. robocze narady. Ale były też dwie wizytacje szczególnie sympatyczne. Chodzi o wizytę prof. Bolesława Krupińskiego w styczniu 1970 roku oraz w połowie 1972 r. o wizytę wiceministra Eryka Porąbki, któremu podlegały wszystkie inwestycje w ministerstwie górnictwa.

- Pan profesor Krupiński był moim prof. na AGH - wspomina W. Mięśowicz.

- Witaliśmy go na kopalni z dużym szacunkiem, chociaż bez oficjalnych meldunków. Oprawiliśmy gościa po placu budowy, gdzie wysłuchał informacji o przebiegu robót. Szczególnie interesował się wykorzystaniem doświadczeń z kopalni „Lubin”. Uważał, że roboty przebiegają dobrze, co było dla nas dużą satysfakcją.

W tamtych czasach budowę „Rudnej” interesowało się całe polskie górnictwo, dlatego i minister Porąbka przyjechał z grupą kilkunastu dyrektorów kopalń węgla. Chciał pokazać naszą organizację budowy, a także głębinie szybów ze stałych głowic i wież oraz sposób kontroli mrozenia, jak również organizację zaplecza. Obeszliśmy place budowy Rudnej Głównej i Zachodniej, omówiliśmy przebieg robót. Żegnając się, minister Porąbka rzekł: „Panowie, pierwszy raz obśledłem plac budowy w półbutach”. Ta uwaga wielkiej klasy fachowca i w tak znakomitym gronie, była dla każdego z nas dużym uznaniem, a dla mnie szczególne, bowiem u ministra Porąbki byłem na pierwszej roboczej praktyce; był on wówczas dyrektorem kopalni „Bytom”.

■ Odbiór ze szwedzką improwizacją

Przebieg budowy kopalni obfitował w wiele zdarzeń, które dostarczały bardzo silnych, stresujących, ale i satysfakcjonujących emocji. Na przykład takie jak: zakończenie drażenia najgłębszego w tamtych czasach w KGHM szybu o głębokości 1050 m, zbiecie upadowej z wyrobiskami kopalni Polkowice, rozruch ZWR, nasuwanie wież, czy też bezbłędne zbiecie Rudnej Zachodniej z Rudną Główną. Tymi robotami osobiście kierował Jan Jurcenko. Najwięcej emocji dostarczyły jednak przygotowania do przekazania kopalni do eksploatacji. Program uroczystości przewidywał zjazd I-go Sekretarza KC Edwarda Gierka szybem R-1 na poziom 1000 m.

Kopalnia była przygotowana zarówno na dole jak i na powierzchni. W końcowych robotach porządkowych pomagali żołnierze z jednostki stacjonującej w Oleśnicy. W samym zjeździe delegacji szybem R-1 nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że urządzenie wyciągowe w tym szybie nie było odebrane i nie zostało dopuszczane do ruchu. Jednocześnie o tym, aby przekazania kopalni dokonać bez zjazdu, nie było mowy.

- Pamiętam, jak parę dni przed terminem uroczystości przyjechało do mnie z Warszawy 3 panów po cywilnemu: major, porucznik i lekarz. Przeszliśmy trasę, którą mieli przejść goście, a więc cechownię, łaźnię, nadszybie. W biurze zostałem poinformowany o mojej szczególnej odpowiedzialności za bezpieczeństwo gości podczas uroczystości, a także o tym, co mi było wolno, a czego nie wolno. Mówiono bardzo dobitnie: „Na powierzchni będą odpowiedni ludzie, ale to pana nie zwalnia z odpowiedzialności, o której mówiliśmy”. Zaproponowałem, a nawet prosiłem o zjazd na dół i przejście ustalona trasą. Usłyszałem, że zabezpieczenie dołu jest wyłącznie moją sprawą, chociaż „nasz człowiek też tam będzie”. Dodatkową emocją dla mnie była świadomość zjazdu z gośćmi wyciągiem, który jeszcze nie był dopuszczony do ruchu. Urząd Górnicy „uprzejmie” przypominał mi, jako kierownikowi ruchu zakładu, o konsekwencjach zjazdu niedopuszczonym do ruchu urządzeniem wyciągowym, zwłaszcza z tak wysokimi osobistościami.

Brzygada szwedzka montująca układ sterowniczy maszyny wyciągowej, po dyskusjach, przygotowała wyciąg na ten jeden zjazd, ale z prędkością jazdy jak przy transporcie urobku, czyli 12m/sek. I było tak: W czasie zjazdu w klatce panowała grobowa cisza, tylko I Sekretarz Edward Gierek powiedział: „No, no, ale prędkość jazdy to macie dużą”. A ja gorączkowo i w napięciu myślałem: Czy Szwedzi wyhamują, czy nie?! Ale wszystko poszło gładko. Tym symbolicznym zjazdem 17.07. 1974 r. kopalnia została przekazana do eksploatacji. Komentarze gości i gratulacje nie były tylko kurtuazją. Dzień ten był dla całej załogi dniem zasłużonej satysfakcji – wspominał budowniczy miedziowych kopalń.

W opowiadaniu dyr. Mięśowicza jest wiele ciekawych wątków dotyczących współpracy z ludźmi z ZG Lubin, PBKRM, a szczególnie z pracownikami „Rudnej”, z którymi rozpoczął jej budowę i z którymi organizował pierwsze oddziały eksploatacyjne kopalni.

Po przekazaniu „Rudnej” do eksploatacji W. Mięśowicz rozpoczął, jako dyrektor, budowę kopalni w Sieroszowicach. Potem jednak został przeniesiony do OUG w Warszawie. Po pewnym czasie skierowano go do Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Tam organizował Kombinat Budownictwa Górniczego i Przemysłowego „Wschód”, wykorzystując zdobyte w KGHM doświadczenia organizacyjne i przede wszystkim technologię głębinienia szybów. Trzeci szyb

w tym zagłębiu zbudowano bez jednej awarii ale, jak podkreśla dyrektor, szyb ten drażyli tylko ludzie z Polskiej Miedzi. Faktycznie, przy wsparciu pracowników KGHM, którzy zdecydowali się na przeprowadzkę, powstawało Lubelskie Zagłębie Węglowe.

■ Jak kawaleryjskie konie

W 1982 roku W. Mięśowicz został wicedyrektorem departamentu górnictwa w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki, a cztery lata później dyrektorem departamentu górnictwa i geologii w Ministerstwie Przemysłu Ciężkiego. Swoją pracę zawodową zakończył jako doradca ministra. Dziś przyznaje, że najciekawszą była praca w ruchu, gdzie ciągle działa się coś nowego i adrenalina szła w górę...Trudno być obojętnym wobec miejsc, w których zostawiło się najlepszą, najaktywniejszą część swojego życia zawodowego. Dlatego W. Mięśowicz, od lat mieszkający w Warszawie, tak chętnie uczestniczy w najważniejszych uroczystościach Polskiej Miedzi. Udział w górniczym święcie porównuje trochę do zachowania koni kawaleryjskich, które przeszły na emeryturę. Mówi:

– Kiedy te konie słyszą wojskową orkiestrę, to się jeszcze podrywają, prężą i idą marszowym krokiem. Podobnie jest i z nami. Barbórka to dla nas czas mobilizacji, wyjątkowego święta, w którym chce się uczestniczyć w pełnym rynsztunku. To czas spotkań i możliwość uczczenia pamięci odkrywcy Polskiej Miedzi Jana Wyżkowskiego, który był moim krajanem, starszym kolegą i przyjacielem. ■

Na kopalni Stanisław Małachowski zyskał przydomek „złotej rączki”, potrafił bowiem naprawić każdą maszynę, a gdyby zabrakło klucza, dorobiłby nawet sześciokątny, byle miał metalową tulejkę.

Stanisław Małachowski, mechanik remontowy maszyn dółowych w ZG Lubin. Pracował w latach 1970–1981



Życia więcej niż na dwa mundury

Polskie Klondike, czyli nowa miedź, przyciągało do siebie ludzi, którzy już wcześniej zeknęli się z górnictwem, jak i młodych znających zawód tylko z książek. Stanisław Małachowski nie należał ani do jednych, ani do drugich.

■ Czeladnik z Kresów

Jak sięga pamięcią, do pracy na roli się nie palił. Ciągnęło go do książek historycznych, geograficznych a najbardziej do tych o śrubach, pokrętlach, mechanizmach. Jego ojciec, choć rolnik spod Brasławia (kolonia Medynia woj. wileńskiego), mobilizował syna do nauki ze swoją fantazją, mówił: „Jak się nie będziesz uczył, to oddam cię za parobka albo pastucha”. A syn uczył się błyskawicznie. Kiedy przy okazji uroczystości rodzinnych recytował z pamięci niemal całość Pana Tadeusza, ojcowska duma rosła.

– Po ukończeniu szkoły podstawowej ojciec kazał mi iść do Adama Kołodyńskiego, właściciela warsztatu w Brasławiu, by dalej uczyć się zawodu – opowiada Stanisław Małachowski, dziś 91-letni emerytowany mechanik maszyn ciężkich z ZG „Lubin”.

W warsztacie Kołodyńskiego naprawiał narzędzia, wozy, młocarnie, kieraty, żniwiarki, rowery itp. To tam z kwadratowego drutu wykuł koledze pierwsze łyżwy. Śmigał na nich zimą po zamrzniętych jeziorach, których wokół Brasławia było wyjątkowo dużo.

Zawód kowala-ślusarza zdobył mając 19 lat. Egzamin czeladniczy zdał tuż przed wybuchem wojny. Po wojnie osiedlił się w Nowym Kościele koło Złotoryi i zaczął praktykować w zajętych po Niemcu warsztacie kowalsko-ślusarskim. Dobrze mu w nim szło, ale kiedy władza ludowa zaczęła okładać prywaciarzy podatkami, zdobył dyplom mistrzowski i rozpoczął pracę nauczyciela zawodu. Przez 17 lat uczył w szkole zawodowej w Gryfowie.

■ Za stary na dół?

Do przyjazdu na miedź (lipiec 1970 r.) nawiązał go młodszy brat Kleofas, który już od kilku lat pracował jako instruktor strzałowy w ZG Lubin. Kleofas sam nie wierzył, że Stanisław, który kopalni nie oglądał a górników widział tylko w telewizji, odważy się na taką zmianę i podej-

mie robotę pod ziemią. Mylił się jednak, gdyż starszy brat analizował: „Cóż, praca do innych podobna, może mechanizmy trudniejsze i w innych warunkach, ale przecież to mechanika, a więc branża dobrze znana.”

Z przyjęciem do ZG Lubin nie było gładko. Dokumenty i wyniki badań lekarskich były bez zastrzeżeń, jednak kadrowa miała poważne wątpliwości, by przyjmować do pracy na dół kogoś, kto ma już na karku 48 lat.

– Wtedy zatelefonowałem po wsparcie do znajomego Leona Kasperka, głównego szefa do spraw maszyn i urządzeń dołowych. Nie wiem do dzisiaj, co jej powiedział, ale rzuciła słuchawką i załatwiła wszystkie formalności bez słowa. Później, jak już pracowałem na dole, pytałem Kasperka, jakich użył argumentów, ale on tylko odrzekł: „Co jej powiedziałem, to powiedziałem, a kobieta najwyraźniej zapomniała, że potrzebuję setkę ludzi, a mam ich tylko trzydziestu”. Bo też przyjmowałem się w okresie, kiedy budowa kopalni była mocno zaawansowana. Mówiło się, że pochłonęła ogromne pieniądze, gdzieś około 5 miliardów. Zrobiono już wtedy ponad 3,5 kilometra szybów i wydrążono blisko 60 kilometrów dróg udostępniających złoże – wspomina S. Małachowski.

■ Od operatora do mechanika

Pierwsze 2 lata przepracował, jak mówi, na rogaciźnie, co w górniczym slangu oznacza na kotwiarce i wiertnicy. Pamięta dzień, kiedy dostał pierwszą w tym czasie i jedyną w Polsce kotwiarzkę SWK.

– Choć było to wspólne dzieło „Legmetu”, „Fadromy” i francuskiej „Secomy”, do doskonałości było jej daleko i na full nie można było nią pracować. A ludzie byli w tamtych czasach zawzięci na robotę, fedrowali możliwie najwięcej, kosztem niedziel i świąt – wspomina S. Małachowski. – Gdy sztygar prosił, żeby zostać na drugą zmianę, to ciągnęło się po dwie, a czasem nawet po trzy zmiany (jedna po drugiej). Po trzech zmianach wracałem do domu strasznie zmęczony, mówiło się u nas: „Zmęczony, jak przysłowiowa suka po szczeniętach!”. Ale człowiek był młody, szybko się regenerował i znowu szedł do pracy. Władzy i dyrekcji chodziło o to, by kopalnia jak najszybciej osiągnęła pełną zdolność produkcyjną, a ludziom chodziło o jak największe zarobki, gdyż większość z przybyłych

na miedź miała lub zamierzała zakładać rodziny – opowiada S. Małachowski. Oczywiście warunkiem powodzenia było górnicze szczęście.

– Pracowałem kiedyś na przodku sam – nawiązując do pamiętnego zdarzenia. – Podczas kotwienia zsiadłem z maszyny i podszedłem do ściany, wtedy od stropu coś się oderwało. Na pewien czas straciłem przytomność. Gdy doszedłem do siebie, pierwsze co zobaczyłem, to moją górniczą lampę. Bolała mnie głowa, miałem pęknięty kask. Po wycofaniu maszyny z przodka poszedłem do szefa na komorę. Nie mogłem już w tym dniu pracować. Wyjechałem na górę, zgłosiłem się do lekarza. Szczęściem kości czaszki były całe, a że trochę mnie poturbowało, to poszedłem na 3 dni zwolnienia – przypomina szczególne chwile.

Kiedy został przeniesiony na stanowisko mechanika remontowego maszyn dołowych, poczuł się tak, jakby odnalazł wreszcie swoje miejsce. Z reguły pracował na komorze, ale też trzeba było usuwać awarie tam, gdzie maszyna utknęła.

– Naprawianie maszyny w gumiakach wypelnianych wodą, w miejscu gdzie brakowało tlenu i kręciło się w głowie, było właściwie normalką. Mimo tych trudnych warunków cieszyłem się, gdy wóz po chwili przestoju znowu ruszał do pracy. Liczyła się praca w zespole, jak szła płynnie, wszyscy mogli dobrze zarobić. Owszem byli i tacy, którzy zjeżdżali na dół po to, by tylko zaliczyć dniówkę. Jeden taki (nazwiska nie wymienię) często kombinował, żeby gdzieś coś urwać w maszynie np. obłamać przewody i przyjechać z nią na komorę. I było tak: ja robiłem te przewody, a on znow siedział beczczynnie. Ale szkodnik ten długo się nie uchował.

■ Więcej niż „złota rączka”

Kierownik Leon Kasperek nigdy nie żałował swojego wstawiennictwa w sprawie przyjęcia S. Małachowskiego do pracy na dół. Faktycznie zyskiwał cenionego operatora maszyn dołowych i „złotą rączkę”, czyli fachowca, który potrafił naprawić każdą maszynę.

– Kiedyś nie było wąskich specjalizacji. Człowiek musiał być po trochu ślusarzem, kowalem, maszynistą...wszystkim – mówi z dumą S. Małachowski. – Nowe maszyny, które jeździły po dole, to w większości nasze legmetowskie kotwiaraki, wiertarki, ładowarki. Zwykle jechaliśmy

po nie z inżynierem do Legmetu. Przed zwiezieniem na dół należało każdą odpowiednio rozebrać albo pociąć, a potem znowu złożyć i pospawać – wspomina. – Szczególnie psuły się Fadromy do urabiania złoza. Od początku miały liche układy hamulcowe. Zgłaszałem swoje uwagi dozorowi, a nawet rozmawiałem z przedstawicielem fabryki, ale to niewiele dawało. Trzeba było sobie jakoś radzić, główkować, dorabiać klucze po kowalsku z otoczki.

S. Małachowski pracował na Lubinie Głównym, Wschodnim i Zachodnim. W każdym z tych miejsc znany był z niezwyklej

chodzie. Przy tej okazji rozmawiali o pracy na dole i samochodach.

– Gdyby dokładnie policzyć, miałem ich czternaście, coraz to nowsze, coraz inne. Kupowałem, naprawiałem, zachwycam się nimi, a potem sprzedawałem – wspomina z pasją S. Małachowski. – Pamiętam starą warszawę, kupioną we Wrocławiu. Ledwo zdążyłem ją naprawić, a już przyjechał kupiec, też z Wrocławia. I tak mnie męczył, tak nalegał, że ją sprzedałem... Tylko raz, a było to za czasów Gierka, kupiłem prosto spod igły fiata 125 p. Ale najdłużej jeździłem oplem, a po nim mercede-



Spotkanie barbórkowe kombatanów, emerytów i rencistów O/ZG Lubin (1990 r.). Pierwszy od prawej to Stanisław Małachowski.

precyzji, cierpliwości i pasji mechanika. Po przejściu na emeryturę przez 20 lat utrzymywał kontakty z zakładem, aktywnie działając w Związku Emerytów Górniczych.

Lubił też po pracy, jak podkreśla, „bawić się”. Początkowo w garażu, w Małomicach, potem w garażu na hałdzie, niedaleko Szybu Bolesław. Godzinami dłużył przy samochodach swoich i kolegów. Kiedyś, a był już wtedy na emeryturze, przyjechał na hałdę sam dyrektor Adam Jesionek. Prosił S. Małachowskiego o naprawienie siedzenia w samo-

sami 115 i 123. W tamtych czasach – jak tłumaczy pan Stanisław – mercedesów nie było wiele w Lubinie. Jeździli nimi przeważnie taksjarze, bo to były dobre maszyny.

W wieku 80 lat odstawił kierownicę. Prawo jazdy zachował, choć już straciło ważność bo, jak mówi, w nagłym wypadku może jeszcze trzeba będzie gdzieś pojechać.

■ Galowe nawiązania

Przed każdą Barbórką wietrzy galowy mundur. Brzeczą różnokolorowe medale, wśród któ-

rych jest medal XXX – lecia PRL, otrzymany na święto lipcowe 1974 r., Srebrny Krzyż Zasługi i na koniec pracy zawodowej Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.



Barbórka to czas wietrzenia galowego stroju.

Górnicy uniform i efektowne czako z czarnymi piórami umieszcza w szafie obok żołnierskiego munduru z trzema gwiazdkami na epoletach. Teraz zielony mundur zakłada częściej, bo kombatancki się wykruszają i pamięć tamtych czasów wciąż na nowo ożywa.

– Gdy wybuchła wojna – wspomina – chciałem dostać się do wojska, jednak z racji młodego wieku mnie nie przyjęli. Uparłem się więc i poszedłem do konspiracji. W naszym domu znajdował się punkt radiowy. Jako telegrafista odbierałem i nadawałem meldunki, a potem, kiedy zaczęła się tworzyć partyzantka, poszedłem do lasu. Dostałem się do słynnej 23 Bratławskiej Brygady AK. Znaczącą akcją była likwidacja posterunku niemiecko-białoruskiej policji w Opsie, w maju 1944 r., a także w lipcu 1944 r. operacja „Ostra Brama”, w ramach akcji „Burza”.

Wyzwalali Wilno ramię w ramię z Rosjanami, którym wówczas zależało na współpracy ze znajomymi teren polskimi partyzantami. Potem jednak formacje NKWD rozbiły akowców.

– Najpierw trafiłem z wszystkimi do Miednik pod Wilnem, a następnie do Tuły i Kaługi, gdzie utworzono z Polaków i Rosjan zapasowy 361 Pułk Piechoty – przypomina zmienne koleje



Na emeryturze zielony mundur zakłada częściej.

losu. Pracował w pułkowej rusznikarni. Jeszcze dzisiaj nie potrafi mówić o głodzie, który tam przeżył. Przytacza jedynie słowa komandira: „Stachu żyć będziesz, a kobiety ci się nie zechce!”, bo pierwszymi do kotła byli ci z pierwszej linii frontu.

Po zakończeniu wojny S. Małachowski, wraz z innymi Polakami, został zdemobilizowany i wysłany do kraju. Na granicy z Polską stanął ubrany w amerykańskie buty i angielski płaszcz. Razem z innymi wybrał Ziemię Odzyskaną, gdzie odnalazł swoje miejsce i założył rodzinę.

Dzisiaj czas aktywności już ma za sobą. W ubiegłym roku po raz pierwszy odpuścił sobie uczestnictwo w uroczystościach barbórkowych. Świąteczny korowód oglądał z okna. Na górniczej karczmie kufel piwa wychylił jego syn (już także emeryt), który kiedyś przejął stanowisko ojca, gdy ten przeszedł na emeryturę. Teraz szykuje się do pracy w kopalni kolejnej Małachowski – wnuk Paweł. On również chciałby zostać mechanikiem maszyn dołowych, śladem ojca i dziadka. ■

**W pracy czasem było bar-
dzo wesoło, czasem przykro.
Nauczyłam się kłaść jak szewc.
Proszę sobie wyobrazić: 40-50
facetów, a ja jedna. Zdarza-
ło się, że pod moim adresem
leciały niewybredne uwagi
i sprośne docinki. Ale z taki-
mi, to ja się nie cackałam, bo
zwykle byli odważni, ale tylko
w tłumie.**

**Arleta Stańko-
-Włodarczak, sygn-
lista szybowy w ZG
Lubin. Pracowała
w latach 1979-2002**



**Eugeniusz
Włodarczak, ślusarz
mechanik maszyn
i urządzeń górni-
czych w ZG Lubin.
Pracował w latach
1973-2006**

Zaczynała w „medalikach”

W Rynarcicach, tysiąc trzysta metrów od domu pani Arlety Stańko-Włodarczak, stoi szyb L6. To tutaj, w 1979 roku, rozpoczęła pierwszą swoją pracę na miedzi. Trochę dalej, za wioską, ciągną się wały stawu osadowego „Żelazny Most”. Mówi, że takie górnicze sąsiedztwo wcale jej nie przeszkadza. Pamięta, że kiedy w pobliżu wioski zaczęły się wiercenia, nikt nie protestował, wręcz przeciwnie – ludzie cieszyli się, że przewidywania geologów znalazły potwierdzenie. Czekali na miedź, jak na zbawienie. Wszyscy liczyli na pracę, bo w Lubinie przemysłu nie było. Jak ktoś miał szczęście, dostał się do Defil-u, POM-u, na kolej, albo do mleczarni, zresztą za marne pieniądze.

Kiedy nadarzyła się okazja, zatrudniła się w Klubie Prasy i Książki „Ruch” w Rynarcicach. (Takie kluby w czasach PRL, powstawały niemal w każdej wiosce.) Przez trzy lata serwowała mieszkańcom kawę, herbatę, oranżadę i ciastka. Organizowała zabawy taneczne i wiejskie imprezy.

■ Skusili zarobki

Lubiła to swoje zajęcie, jednak gdy tylko zbudowano w pobliskim lesie szyb L6, długo się nie zastanawiała. Zgłosiła się do Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Rud „Częstochowa” oddział Lubin (czyli do tzw. „medalików”), które budo-
wało i potem obsługiwało szyb. „Częstochowa”

budziła jednoznaczne skojarzenia, stąd też o ludziach zatrudnionych w tym przedsiębiorstwie mówiło się „medaliki”. Wokół tej nazwy nagromadziło się sporo anegdot i żartobliwych skojarzeń. Pani Arleta przytacza jedno z bardziej znanych powiedzonek: „Kup medalik na szyję, a piorun cię nie zabije.”

– Skusiły mnie zarobki – przyznaje. – Jak usłyszałam, że dostanę prawie trzy razy więcej, niż miałam w klubie „Ruchu”, gdzie zarabiałam 1100 zł, to chciałam Pana Boga po nogach całować. Od razu dali mnie na sprzężarki, które tłoczyły powietrze do kopalni, niezbędne do pracy maszyn i urządzeń hydraulicznych. Ale pierwszą umowę dostałam na stanowisko porządkowej, ponieważ nie ukończyłam żadnego kursu. Już po dwóch tygodniach zaczęłam pracę na trzy zmiany. Do moich obowiązków należało m.in. sprawdzanie temperatury i ciśnienia oleju, no i oczywiście zgłaszanie awarii. Pod względem fizycznym praca nie była uciążliwa. Dokuczał jedynie straszny hałas, aż dziw, że nie ogłuchłam. Musiałam nie tylko obserwować, ale i nasłuchiwać jak pracuje urządzenie. Jeśli tylko pojawiał się jakiś nowy, dotąd niesłyszany dźwięk, należało być czujnym, bo mógł sygnalizować awarię, np. z powodu zużycia się tłoków czy pierścieni.

■ Kubłem na dół

Była ciekawa kopalni, korciło ją, by zobaczyć jak naprawdę jest tam, na dole szybu. Przyznaje się, choć z lekkim wahaniem (bo to było wbrew przepisom), że już na samym początku pracy, poprosiła kolegów by zabrali ją na dół.

– Zjechaliśmy kubłem, gdyż u nas klatki nie było, na głębokość 910 metrów. Strachu wielkiego nie odczuwałam, ale emocje były: wokół ciemności, świeciły tylko nasze lampki na kaskach; ciśnienie w uszach; głośny szum przewodnic i cały czas lała się na nas woda (tzw. sikacz), która pod naturalnym ciśnieniem przedostawała się z gruntu do szybu. Wyjechaliśmy całkowicie przemoczeni. Na dole nawet nie wychodziłam z kubła, rozejrzałam się tylko i wyjechałam z powrotem na powierzchnię.

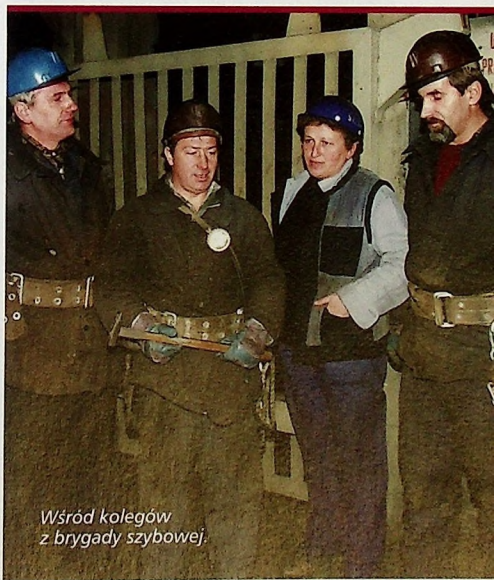
Po dwóch latach pani Arleta doszła do wniosku, że czas na zmiany. Trochę się jej nudziło „na sprzężarkach”, bo pracowała w pojedynkę, a samo zajęcie okazało się zbyt spokojne jak na jej temperament. Po drugie – chciała więcej zarabiać, żeby zapewnić dzieciom lepsze warunki

niż sama miała w ich wieku. Pomyślała, że praca sygnalistki szybowej będzie dla niej w sam raz, zwłaszcza że to stanowisko zaliczało się do dołowych, co wiązało się z wyższymi zarobkami. Była pewna, że sobie poradzi, ponieważ widziała na co dzień, na czym ta praca polega.

Szkoлиła się przez trzy miesiące na swoim szybie, pod okiem pracującego na zmianie sygnalisty. Chodziła tam w wolnych chwilach od doglądania sprzężarek. Potem był egzamin na stanowisku pracy, przed komisją z udziałem zwierzchników: nadsztygara, głównego mechanika i sztygara zmianowego. Oprócz teoretycznej wiedzy z przepisów górniczych dotyczących tego stanowiska, musiała wykazać się m.in. znajomością abecadła sygnalisty szybowego, czyli znaczeniem nadawanych sygnałów. Pani Arleta recytuje bez wahan: jeden sygnał – stój, dwa – klatka (kubel) w górę, trzy – na dół, cztery – jazda ludzi.

■ Jak na Syberii

– Po zdanym egzaminie zostałam na L6 jako sygnalistka. Zimą było tam jak na Syberii. Szyb wyłączano, bo wszystko obrastało lodem – liny i obmurze rury szybowej, z tego powodu kubel nie mógłby się przecisnąć. Dopiero wiosną



Wśród kolegów
z brygady szybowej.

lód się obrywał i spadał aż do rząpia, niszcząc niestety wyposażenie szybu. Zimą więc pracowało się tylko na jedną zmianę. Później, po dwóch, czy trzech latach, po przejęciu szybu przez Zakłady Górnicze Lubin, część naszej obsady przenieśli na szyb główny. Warunki panowały tam o niebo lepsze – przede wszystkim na nadszymbiu mieliśmy ciepło. Ale praca była bardziej odpowiedzialna, bo woziło się głównie ludzi. Harmonogram zjazdów był stały: godzina 6 rano – górnicy, siódma trzydzieści – strzałowi, dziewiąta – dozór, od dwunastej rozpoczynał się wyjazd ludzi z kopalni – pierwszy, o godz. 12, wyjeżdżał dozór, później o 13,30 pozostali. Po między zjazdami ludzi, opuszcza się różne materiały, maszyny i urządzenia porozbierane na elementy, tak by zmieściły się w klatce. Sygnalista odpowiada m.in. za prawidłowe rozmieszczenie ładunku, żeby klatka była równomiernie obciążona i nie doszło do jej przechyłu. Ja na szczęście przez te wszystkie lata nie popełniłam poważniejszych błędów i nie miałam żadnych wpadek. No, może na papierosach, przynajmniej z lekkim zażenowaniem. Nie miało to, co prawda, konsekwencji służbowych, jedynie zdarzały się słowne połajanki ze strony dozoru. „Pani Arleto..., pani Arleto...”, z politowaniem kręcił głową nadsztygar Zbigniew Marcinkowski. – A ja jak sztubak – czy w dół i cała w pąsach – wspomina.

Mówi, że jeszcze dzisiaj się wstydzi, kiedy o tym wspomina. W końcu rzuciła palenie, pamięta jak dziś – 13 lipca 2001 roku. Czasem obrywało się też za zbyt późne odebranie telefonu. A przecież człowiek nie stał w jednym miejscu, poza tym do ubikacji też trzeba było czasem skoczyć – tłumaczy. Tak ją to wkurzało, że w końcu koledzy zamontowali aparat w kibelku. No i siedząc na muszli, można było spokojnie pogadać z szefem... – śmieje się pani Arleta. Nie narzeka na zwierzchników. Bardzo mile wspomina m.in. nadsztygara energo-maszynowego Zbigniewa Marcinkowskiego, dyrektora Tadeusza Szelągę i dyrektora Kazimierza Ziają. Choć słyszała, że ten ostatni był wyjątkowo ostry dla umysłowych i często robił naloty na biura.

– Za moich czasów – opowiada – niewiele było kobiet-sygnalistek, na „głównym” pracowaliśmy we dwie, z Lucyną Muchą. Z kobietami jest taki kłopot, że prawo górnicze zezwala nam na przebywanie pod ziemią tylko przez cztery

godziny. To powoduje komplikacje z obłożeniem stanowisk, dlatego obsadzano nas wyłącznie na nadszymbiu. Jedynie w soboty i w niedzielę były tzw. jazdy osobiste, bo pracował tylko jeden sygnalista na nadszymbiu i trzeba było samemu zjeżdżać i wyjeżdżać razem z ludźmi.

■ Pan nie zjedzie!

– W pracy czasem było bardzo wesoło, czasem przykro. Nauczyłam się kłać jak szewc. Proszę sobie wyobrazić: 40–50 facetów czeka na zjazd, a ja jedna baba wśród nich. Zdarzało się, że pod moim adresem leciały niewybredne uwagi i sprośne docinki. Ale ja się z takimi nie cackałam, bo zwykle byli odważni, ale tylko w tłumie. Podam jakiś przykład. Idą grupą do klatki, słyszę tylko jakieś nieprzystojne propozycje i wulgaryzmy. Pytam: „Który to?”, jego koleźny dyskretnie wskazują na delikwenta. To ja wypożyczyłam go sobie, jak podszedł bliżej: „No, powiedz to jeszcze raz, ale prosto w oczy!” Spuścił tylko głowę i szybko wszedł do klatki. Ale gdy znalazł się w tłumie, znowu zaczął swoje. Nieraz zastanawiałam się, dlaczego tak się dzieje, że ten sam człowiek za bramą zakładu, gdy już rzuci robocze ciuchy, zachowuje się zupełnie inaczej – jak normalny, kulturalny, człowiek. Pewnie taki biedaczek, chciał pokazać kolegom, jaki to z niego chojrak. Przejście z klubu „Ruchu” do kopalni było dla mnie szokiem. Początkowo nie mogłam się pozbierać, gdy ktoś do mnie wypalił z grubej rury. Szybko musiałam zapamiętać o takich słowach jak: „proszę”, „przepraszam” i zacząć mówić ich językiem, bo inaczej by mnie „zjedli”.

– Dochodziło również do utarczek z tymi, co przychodzili do pracy po kielichu. Widzę, że facet jest pijany, to mówię do niego: „Pan nie zjedzie.” A on do mnie w najgorszych słowach. To ja za telefon i do behapowca. Na drugi dzień przyszedł mnie przepraszać. Natomiast z chłopakami z mojej brygady szybowej, nie miałam najmniejszych problemów. Ich było trzydziestu, a ja jedna baba. Traktowali mnie jak kumpła, oczywiście tylko do pewnego stopnia. Bo kiedy szli na karczmę piwną, to niestety beze mnie. Co roku się wpraszałam, ale oni nie dali się przekonać. Twardo trzymali się tradycji, że kobieta na karczmę barbórkową nie ma wstępu. Trochę ich rozumiałam i nie obrażałam się. Przez pewien czas byłam nawet ich „księgową”. Po wypłacie miałam kupić kasy, bo zo-



Comber Babski, lata 90. Z lewej Tadeusz Szelaż, dyrektor ZG Lubin.

naci kolekdy zostawiali sobie zaskórniaki i oddawali mi na przechowanie. Sporządzałam wykaz nazwisk i kwot, jakie kto mi powierzył i w razie potrzeby wypłacałam. Ta moja funkcja w brygadzie urwała się po wprowadzeniu obowiązkowych przelewów wynagrodzeń na konta. To były szalone lata, 60. i 70. Jak na tamte czasy dobrze zarabialiśmy, byliśmy młodzi i chcieliśmy się bawić. Prawie co tydzień hulaliśmy na dansingach i sportykaliśmy się na różnych towarzyskich imprezach.

■ Kawa za wimik

Męża, Eugeniusza Włodarczaka, poznała w pracy. Był zatrudniony jako tokarz, w warsztacie przy szybie. Znali się już wcześniej, ale połączyła ich „frania”.

– Nawaliła mi pralka „frania”, dokładnie zepsuł się wimik. Poszłam do tokarni i mówię: „Gienek dorób mi tę część.” Pieniądzy nie chciał za robotę, więc zaproponowałam mu kawę – umówiliśmy się w restauracji. Niedługo była Wigilia, wiedziałam, że jest sam, po rozwodzie. Zaprosiłam. To Gienek w rewanżu zaprosił mnie na integracyjne spotkanie na strzelnicy w Lubinie, na Przylesiu.

– Wtedy jeszcze – dodaje pan Eugeniusz – nie było zwyczaju wynajmowania lokali. – Brygada sprzedawała jakieś pozostałości złomu, a pieniądze szły na wspólny cel, zazwyczaj na biesiadę pod chmurką.

Wcześniej pracował w Legnicy, w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Robót Komunalnych. Do ZG Lubin trafił w 1973 roku. Mówi, że gdy dostał pierwszą wypłatę (6 tys. zł) nie wiedział co zrobić z taką górą pieniędzy, przedtem zarabiał połowę z tego. Pamięta, że wreszcie pozwolił sobie na kupno aparatu fotograficznego, o którym zawsze marzył. Pracując, porobił różne uprawnienia: sygnalisty, pompiaza i obsługi taśmociągu. Aż do emerytury był pracownikiem warsztatu, z niewielką, bo trzymiesięczną przerwą w stanie wojennym. Tuż po jego ogłosze-



Zakładowe spotkanie integracyjne przy ognisku - koniec lat 80. Na pierwszym planie Eugeniusz Włodarczak.

niu, został zmobilizowany do ROMO (Rezerwowe Oddziały Milicji Obywatelskiej), ponieważ służbę wojskową odbywał w jednostce MSW.

– W Legnicy – opowiada – ubrali nas w milicyjne dreluchy, dali broń z pustymi magazynkami i wysyłali na uliczne patrole. Potem trafiliśmy do Wrocławia. Ustawiali nas w szyku, kazali maszerować ulicami, by zademonstrować siłę władzy. Po takiej „defiladzie” szliśmy sobie na piwo.

■ Górski bakcyl

Od kilku lat oboje są już na emeryturze. Jednak nie mają problemu z nadmiarem wolnego czasu. Mówią, że jak ktoś chce, zajęcie zawsze może sobie znaleźć. Zwłaszcza na wsi. Mają dom, działkę, parę kurek, kaczek i spore stadko gołębi, które pani Arleta zaczęła hodować dopiero na emeryturze. No, bo przecież gołąb i górnik do siebie pasują – śmieje się. Przez pewien czas działała w Stowarzyszeniu Kobiet w Rynarcicach, zajmując się przygotowaniem dożynek, zabaw dla dzieci i różnych innych okolicznościowych imprez. Wycofała się, bo z pieniędzmi na te cele krucho i coraz trudniej było coś zorganizować. Dalej jednak pomaga, gdy np. trzeba upleść dożynkowy wieniec, czy przystroić świetlicę. Poza tym, w każdą środę jeździ do CK Muza w Lubinie na zajęcia tai-chi. A najbardziej kocha las – było, że prosto z nocki szła na grzyby. No i lubi wycieczki. Teraz z mężem wybierają raczej trasy spacerowe. On po dwóch zawałach, ona po złamaniu nogi nie odzyskała dawnej sprawności. Ale wcześniej, gdy pracowali, nie przepuścili żadnej turystycznej imprezy w zakładzie. Początko-

wo pan Eugeniusz się opierał, ale małżonka nie odpuszczała i w końcu załapał bakcyła. Na rajdach i wycieczkach przedeptali Sudety, Bieszczady, Pieniny, wzdłuż i wszerz. A już jako emeryci jeździli do wód termalnych na Słowację.

W kopalni „Lubin” pracuje również syn pani Arlety, Robert. Przyjęto go do działu transportu podziemnego. Zatrudniał się w tym czasie, kiedy nie było już tak łatwo dostać się do kopalni. Ale członkowie rodzin osób pracujących w KGHM mieli większe szanse. Dobra opinia mamy na pewno miała w tym wypadku swoje znaczenie. ■

Do wypadku doszło na mojej zmianie. Przy wylewaniu ciekłej miedzi konwertor zaczął się przechylać w przeciwnym kierunku niż powinien, na dyspozytornię. Kiedy ludzie zorientowali się co się dzieje, zaczęli uciekać, niestety jeden z pracowników nie zdążył i został obłany rozbryzgującą się miedzią.

*Andrzej Burzyński,
starszy mistrz zmianowy w Hucie Miedzi
Legnica.
Pracował w latach
1961-2004*



Za bardzo podskakiwałem

Gdyby nie wojna, pewnie nadal mieszkałby w Warszawie, gdzie się urodził w 1943 roku. Kiedy wybuchło powstanie warszawskie, miał ledwie rok. Ojciec poszedł walczyć i już nie wrócił – nie ma nawet grobu, tak samo jak brat matki, lotnik Dywizjonu 303, zestrzelony nad Hamburgiem. Po wojnie matka Andrzeja Burzyńskiego wyjechała ze zrujnowanej Warszawy na Ziemie Zachodnie, w poszukiwaniu lepszego życia. Trafiła do Legnicy.

■ Jak w piekle

– Kiedy pierwszy raz wszedłem na wydział metalurgiczny, byłem mocno przestraszony – opowiada Andrzej Burzyński, dziś emeryt Huty Miedzi Legnica. – Przerażał straszny hałas i te snopy iskier rozpryskujące się po hali. Mówili mi, że to serce huty, a ja poczułem się jak w piekle.

Dla niespełna osiemnastoletniego Andrzeja Burzyńskiego była to pierwsza w życiu praca po ukończeniu zawodówki. Został przyjęty 6 listopada 1961 roku na staż jako elektromechanik. Z czasem przyzwyczaił się do warunków na wydziale, bardziej dokuczliwa okazała się dla młodego człowieka praca na zmiany.

– W sobotę wieczorem chciałoby się zabić, skoczyć na potańcówkę, a tu niestety trzeba zbierać się na nockę do roboty – śmieje się pan Andrzej. – Bardzo szybko, bo niecały rok później przekonałem się, jak bardzo niebezpieczna może być praca w hucie i to porównanie z piekłem okazało się bliskie prawdy. Do wypadku doszło na mojej zmianie. Przy wylewaniu ciekłej miedzi konwertor zaczął się przechylać w przeciwnym kierunku niż powinien, na dyspozytornię. Kiedy ludzie zorientowali się co się dzieje,

zaczęli uciekać, niestety jeden z pracowników nie zdążył i został obłany rozbryzgującą się miedzią. Widziałem jak go ratowali: buty razem ze skórą schodziły z nóg, a skóra na rękach razem z paznokciami. Po tygodniu męczarni zmarł w legnickim szpitalu przy ul. Murarskiej. Ten wypadek to był koszmarny widok, którego się nie zapomina.

■ Powrót do Legnicy

Być może to szokujące przeżycie, a także chęć spróbowania czegoś nowego sprawiła, że po pewnym czasie dwudziestoletni Andrzej Burzyński dał się namówić kolegom na zmianę pracy. Pojechali na Wybrzeże i zatrudnili się w szczecińskiej stoczni. Jednak praca nie okazała się tak bardzo intratna finansowo i ciekawa jak się spodziewał. Dwa lata później powrócił do Legnicy, tyle że już z żoną Urszulą i synem Mirosławem. Wrócił, bo szanse na własne „M” w Szczecinie były marne, a nie chciał się skazywać na mieszkanie z teściami. Po dwóch latach młoda rodzina mogła już się cieszyć przydziałem na mieszkanie zakładowe, otrzymane z Huty Miedzi Legnica. Wychodziła je w dyrekcji pani Urszula, będąc w ciąży z córką Katarzyną. Byli szczęśliwi, mimo że (patrząc z dzisiejszej perspektywy) było to niewielkie mieszkanie o gomułkowskich standardach z ciemną kuchnią.

■ Przeciwko dyrekcji

O pracę też nie było trudno. Wprawdzie w hucie, na wydziale metalurgicznym, gdzie Andrzej Burzyński zaczynał robotę, akurat nie było miejsca, ale znalazł się etat elektryka w oddziale oczyszczalni gazów. Przełożeni docenili sumienność młodego pracownika. Awansowali go na brygadzystę hydraulików, którzy zajmowali się instalacjami wodnymi, rurociągami z parą i sprężonym powietrzem. Miał on jednak znacznie wyższe aspiracje zawodowe. Z czasem, w latach 1974–76, ucząc się zaocznie w legnickiej „samochodówce”, zdobył tytuł tech-

nika w przemyśle maszynowym. – Moi szefowie widzieli, że nie objam się w robocie i w 1977 roku chcieli zrobić mnie mistrzem – mówi Burzyński – ale dyrektor Leszek Zieliński nie zgodził się, bo za bardzo podskakiwałem.

– W jaki sposób Pan „podskakiwał”?

– Od 1971 roku działałem w Związkach Zawodowych Hutników Metali Nieżelaznych z centralą w Katowicach. Zostałem członkiem plenum a potem społecznie przewodniczącym komisji socjalnej. Kontrolowaliśmy warunki w stołówkach, ośrodkach czasowych itp., wszelkie uwagi zgłaszaliśmy dyrektorowi, który nie zawsze się zgadzał z naszą opinią, stąd dochodziło do spięć. W latach 1972–74 byłem nawet etatowym skarbnikiem naszego związku. Ale gdy przyszedł rok osiemdziesiąty, zrezygnowałem z członkostwa. Tak postąpiła większość, bo 85 proc. załogi opowiedziało się za „Solidarnością”. Razem, m.in. z Wojtkiem Gryglaszewskim i Stanisławem Gilosem, należałem do ścisłej grupy, która w Hucie Miedzi Legnica



Hutnicy z Legnicy pomagali przy budowie Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Na fot. Andrzej Burzyński.

zakładała NSZZ „Solidarność”. Pamiętam, że atmosfera w zakładzie była w tym czasie bardzo gorąca. Wreszcie można było legalnie protestować i przeciwstawiać się dyrekcji. Jeden z takich protestów, który polegał na zbieraniu podpisów, dotyczył pomysłu połączenia naszego oddziału

oczyszczalni gazów z wydziałem metalurgicznym. Obawialiśmy się w związku z tym redukcji etatów i utraty zarobków. No i dzięki tym podpisom udało się nam zablokować fuzję.

■ Nalot SB

– W „Solidarność” byłem tylko szeregowym członkiem – przyznaje Burzyński – w przeciwieństwie do mojej żony, która bardzo mocno zaangażowała się w nowe związki. W 1980 roku kierowała strajkiem w Fabryce Fortepianów w Legnicy, gdzie pracowała jako korektorka pianin. Potem weszła w skład struktur wojewódzkich jako przewodnicząca komisji ds. interwencyjnych. W 1982 roku została na krótko zatrzymana przez milicję po złożeniu kwiatów pod zamkiem, w drugą rocznicę powstania „Solidarność”. Nie miałem o tym pojęcia, bo poszłam do miasta, żeby wykupić czekoladę na kartki. A tu patrzę, pod blokiem radiowóz. Był stan wojenny, „Solidarność” zdelegalizowana, a u nas w domu, jakaś biuła i w przedpokoju na słomianej macie pełno znaczków i plaketek „Solidarność”. Szybko zerwałem matę, zwinąłem i wyrzuciłem przez okno w tym czasie, kiedy funkcjonariusze szli po schodach. Zrobili kipsz w domu i w piwnicy, coś tam znaleźli, już nie pamiętam co. Ja próbuję jakoś sytuację załagodzić i w zdenerwowaniu mówię coś w tym rodzaju: „Wicie panowie, żona jest chora na głowę...” Bo faktycznie miała w tym czasie jakieś problemy neurologiczne. Oni zrozumieli chyba dosłownie, to co powiedziałem, zabrali się i po jakimś czasie radiowozem odstawili żonę do domu. W ten sposób niechcący wybawiłem żonę z kłopotów.

■ Nie zmarnowałem kadencji

Andrzej Burzyński mówi, że zawsze lubił działać, nie tylko jako związkowiec. W latach siedemdziesiątych, wspólnie z Mieczysławem Stembalskim i Henrykiem Siemaszko, zakładał w hucie koło Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej, organizował i sam brał udział w rozgrywkach sportowych

i spartakiadach międzyzakładowych. Ta skłonność do angażowania się sprawiła, że uległ namowom Tadeusza Krzysztofowicza, przewodniczącego rady oddziałowej i na nowo włączył się w ruch związkowy. Znowu został szefem komisji socjalnej, a od 1985 do 1988 roku stał już na czele Związku Zawodowego Hutników Metalu Nieżelaznych HM Legnica, który zrzeszał 700 członków, razem z emerytami i rencistami. Po zmianach ustrojowych, na początku lat 90., włączył się w proces tworzenia się nowej organizacji pracowniczej – Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Miedziowego.

Uważa, że nie zmarnował tej kadencji i ma się czym poszczycić. Razem z kolegami z głogowskich hut zainicjował negocjacje, które z czasem doprowadziły m.in. do rozszerzenia wykazu stanowisk uprawniających do wcześniejszej emerytury i do dodatkowych urlopów za pracę szkodliwą, sięgających nawet 12 dni.

– Po zakończonej kadencji w związkach chciałem wrócić na swoje poprzednie stanowisko, ale było zajęte – wspomina. – Pod koniec maja – dzwoni do mnie dyrektor Janusz Łyszczarz i mówi: „Wiem, że pan Nowak nie ma dla pana miejsca, ale zwolnił się etat dyspozytora huty. Jeśli szef produkcji pana zatwierdzi, ja nie będę stawiał przeszkód.” Ta propozycja ze strony dyrektora bardzo mnie zaskoczyła. Powiem



*Podczas spartakiady zakładowej.
Pierwszy z prawej (stoi) Andrzej Burzyński.*

dłaczego. Otóż, w 1987 roku, kiedy byłem jeszcze szefem związku zawodowego, został ogłoszony konkurs na dyrektora huty. Zgłosili się do niego m.in. nasi inżynierowie. Zostałem jednym z członków komisji konkursowej, którą z ramienia kombinatu kierował Witold Parchimowicz. Okazało się, że dyrektorem huty ma być właśnie Janusz Łyszczarz, pracownik Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Legnicy. Tymczasem my chcieliśmy, żeby to nasz człowiek objął to stanowisko, a nie ktoś z zewnątrz przywieziony w teczce, nawet gdyby miał to być człowiek bez skazy. Byłem strasznie zbulwersowany, wsta-

nie kasę zapomogowo-pożyczkową. Dzięki temu skrócił się czas oczekiwania na pożyczkę. Wiem o tym, bo będąc już dyspozytorem, przez sześć lat prowadziłem społecznie kasę zapomogowo-pożyczkową.

* * *

1 stycznia 2004 roku Andrzej Burzyński przeszedł na emeryturę, ale z działalnością nie skończył. Od 2006 roku, jako wiceprzewodniczący, pomaga Henrykowi Siemaszce w prowadzeniu Koła Emerytów i Rencistów HM Legnica, a od ubiegłego roku kieruje legnickim rejonem Sto-

*Koleżeński piknik hutników.
W środku bohater artykułu.*



łem i wyszedłem z tej komisji. Napisaaliśmy, jako związkowcy, i powiesiliśmy na tablicy oficjalny protest informując, że nie przyłożymy ręki do tej farsy. Trzeba przyznać, że Łyszczarz pokazał klasę – przyszedł do mnie na rozmowę i wtedy spokojnie wyjaśniłem mu swoje stanowisko. Ostatecznie okazało się, że był bardzo dobrym dyrektorem, może najlepszym w całym okresie kiedy pracowałem. Przynajmniej ja to tak odczułem. Za jego kadencji postawiliśmy w Rokitkach 10 nowych domków kempingowych. Przez dwa lata mieliśmy tak wysokie wypłaty z zysku, że starczyło mi na wyprawienie synowi wesela. Z dochodów uzyskanych z odpowiednio ulokowanych funduszy, zasilili nam znacz-

warzyszenia Emerytów i Rencistów Byłych Pracowników KGHM Polska Miedź S.A., które siedem lat temu pomagał zakładać. Swoją nie-spożytą energię pan Andrzej wykorzystuje teraz na organizację wczasów, wycieczek i różnego rodzaju imprez integrujących dawnych pracowników miedziowej firmy i ich rodziny. ■

Pamięta czasy, kiedy szlam z elektrorafinacji gromadzono w dużych workach na zewnątrz hali. Potem Szopienice zabierały go do swojej huty. Odnosiło się wrażenie, jakby o ten szlam nikt specjalnie nie dbał. Aż gruchnęła wieść, że ktoś z huty, przy użyciu łyżki do pobierania próbek z pieca, wytopia z niego cenne, okrągłe „placki”...

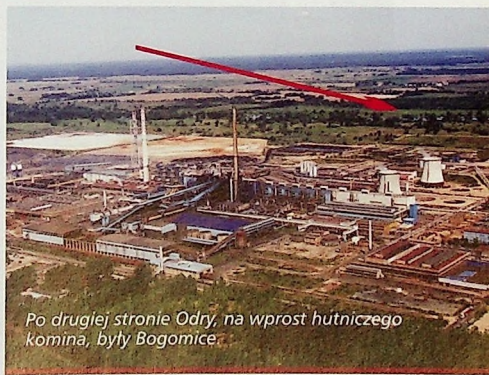
*Rudolf Nowicki,
ślusarz-spawacz
w Hucie Miedzi
Głogów. Pracował
w latach 1973–1999*



Z hutą miedzi w tle

Gdy Rudolf Nowicki osiągnął 60 lat, uznał, iż po 25 latach hutniczej harówki najwyższy czas na emeryturę. Na odchodnym w kadrach poinformowano go, że przy ul. Wojska Polskiego 9 działa Koło Emerytów i Rencistów Huty Miedzi Głogów. Nie sądził, by ta informacja mu się jeszcze przydała. A jednak po upływie kilku lat, emerytowany ślusarz-spawacz odwiedził siedzibę koła i za namową Czesława Gmitruka, niegdyś dyrektora pracowniczego huty, utknął w nim na dobre, pełniąc między innymi funkcję prezesa.

– Niestety, dzisiaj ludzie mniej garną się do pracy społecznej, o sponsorów też coraz trudniej. Wcześniej też huta więcej dbała o swoich seniorów. Dzięki temu organizowaliśmy różne imprezy, wyjazdy. Nie były to tylko grzybobrania, ale również wycieczki do Książa, Lubiąża, Wrocławia na Panoramę Raclawicką, a nawet do Pragi – wylicza R. Nowicki. Kiedy pada następne pytanie o najdłuższy wyjazd w życiu, odżywają wspomnienia.



Po drugiej stronie Odry, na wprost hutniczego kominia, były Bogomice.

■ Z Bogomic do własnego domu

Najdłuższa do tej pory podróż przydarzyła się w czerwcu 1945 roku. Siedmioletni Rudek jechał z Kresów, dokładniej z Majdana Pieniackiego (powiat Brody), na Ziemię Odzyskane. Podróż trwała z tygodnie.

– Jechaliśmy odkrytymi wagonami tzw. lora-
mi w słońcu i w deszczu, poprzykrywani różny-
mi papierami i szmatami. W końcu pociąg się
zatrzymał w Grodźcu Małym przed Głogowem.
Kazano nam czekać na przeprawę przez Odrę.
Mijały dni. Z daleka widzieliśmy Głogów, któ-
ry jeszcze wtedy miejscami dymił i dopalał się.
Przeprawę wciąż odwlekano, bo armia radziec-
ka wracała spod Berlina i ona miała pierwszeń-
stwo przed wszystkimi. W końcu starszyzna
postanowiła nie czekać dłużej na przeprawę
i osiedlić się w Bogomicach, oddalonych 5 km
od Głogowa i oddzielonych od niego Odrą –
wspomina R. Nowicki.

Zajęli jedno z poniemieckich gospodarstw.
Po 2 miesiącach z niemieckiej niewoli wrócił
ojciec, wówczas zaczęła się długa harówka na
nowej ziemi, a było jej 8 ha.

Dzieci Nowickich przede wszystkim musia-
ły pracować w polu. Nauka schodziła na dalszy
plan. Rudek po podstawówce poszedł do szkoły
zawodowej, próbował sił na różnych kursach
rolniczych, a potem dopadło go wojsko. Wrócił
do Bogomic po służbie. Znalazł pracę w Stacji
Oceny Odmian, potem w POM-ie, a w lutym
1973 r. trafił do głogowskiej huty, która rosła,
wkraczała w krajobraz podgłogowskich wsi, eli-
minując niektóre z nich.

– Nasze Bogomice po-
dzieliły los tych osad, które
w związku z oddziaływa-
niem huty na środowisko
zostały wysiedlone. Więk-
szość mieszkańców zamie-
niła domy na mieszkania
w blokach. Mnie się do nich
jakoś nie spieszyło, dlatego
zaczęłam budować własny
dom – opowiada Nowicki.
– To był koniec lat 70-tych.
Dyrekcja huty posłała nam
na rękę i pozwoliła pozy-
skiwać cegłę i dachówkę
z opuszczonych budyn-
ków w Bogomicach. Dzięki
temu, po 5 latach budo-
wy, mogliśmy zamieszkać
z żoną i piątką dzieci w no-
wym domu w Głogowie.

■ Metalowe „noski”

R. Nowicki cenił sobie
robotę w hucie. Nie narze-
kał na zarobki, choć z utrzy-
maniem piątki dzieci nie
było łatwo. Przez 11 lat pra-
cował na Wydziale Odlewni
Wlewków (P-5), w Szluzach
Utrzymania Ruchu (SUR).
W tamtych czasach każdy
wydział miał swoje służby.
Od ich sprawności zależała
płynność produkcji i końco-
wy efekt, czyli zysk. Pamięta
wiszące nad wejściem hasło:



*Wycieczka do Pragi.
Piąty od lewej Rudolf Nowicki.*

„Więcej, więcej, wciąż za mało”, bo wlewki stały już wysoko i były produktem eksportowym.

Pierwsze lata nie były łatwe. Po odejściu kierownika Kozenia, szefem Wydziału Wlewków został Jan Czyż z Legnicy. Przyciągnął ze sobą z Legnicy brygadę wyszkolonych i doświadczonych piecowych, odlewników, rafiniarzy i wtedy wydział zaczął pracować płynnie.

– Praca ślusarza-spawacza od zawsze należała do ciężkich. Latami coś skręcałem, rozkręcałem, ciąłem, spawałem, aby mimo awaryjności urządzeń produkcja szła do przodu – wspomina R. Nowicki. – Pierwsze przenośniki łazowe do transportu wlewków ciągle się wyginały; rwały się w nich łańcuchy. Dopiero później przenośniki te nieco przerobiono, udoskonalono i transport wlewków, począwszy od karuzeli po dział kontroli jakości, był już bardziej płynny.

W hucie zawsze trzeba było mieć oczy szeroko otwarte. Do pewnego czasu dziwiło go, że behapowiec, który wpadał i kontrolował stanowiska pracy, specjalnie nie przejmował się tym, że komuś przycisnęło palec. Zawsze jednak sprawdzał kaski i ochronne obuwie, które było mało wygodne, ciężkie i z metalowymi noskami. Pewne zdarzenie przekonało pana Nowickiego, że postępowanie behapowca było właściwe:

– Demontowaliśmy ciężki metalowy podjazd. Ciężki śrub została już odkręcona, i nie wiadomo dlaczego, ale materiał nie wytrzymał, pozostałe śruby pękły i podjazd runął w dół. Stałem najbliżej. Upadająca płyta leciała prosto na moje nogi i... zatrzymała się na tych metalowych „noskach”. Może nawet uratowały mi stopy. Od tej pory nikt nie musiał mnie namawiać, do noszenia tego ciężkiego obuwia.

■ Uciążliwy hałas

Po 11 latach pracy na wlewkach przeniesiono R. Nowickiego na Wydział Energetyczny. W tym ogromie kompresorów i dmuchaw największą uciążliwością był hałas.

– Na hali hałas dochodził do 105 decybeli, więc przeciętne przekroczenie normy (85 dB) wynosiło ok. 20 dB – wylicza R. Nowicki. – Oczywiście ten ponadnormatywny poziom natężenia hałasu miał być, zgodnie z przepisami BHP, redukowany. Jednym ze sposobów było stawianie ścianek wygłuszających, które jednak nie zdały egzaminu. Pamiętam, że obowiązkiem każdego pracownika było także nakładanie

ochraniaczy na uszy. Pierwsze ochraniacze były bardzo sztywne, słabo przylegające. Noszenie ich przez dłuższy czas sprawiało, że bolały uszy, ale trzeba było je zakładać, bo bez nich w ogóle nie można było pracować.

Dobre ochraniacze pojawiły się na wydziale pod koniec pracy zawodowej R. Nowickiego. To były słuchawki z prawdziwego zdarzenia: mięciutkie, eleganckie z wykładzinami i specjalnymi pokrętkami. Wystarczyło je poruszyć, by usłyszeć, co mówi kolega pracujący obok.

■ Niebezpieczna praktyka...

Wspomina lata 80. i uciążliwe remonty przy pomocy suwnic. Szczególnie kłopotliwa była naprawa radzieckich kompresorów. Części zapasowe do tych kolosów, choć przychodziły w odpowiedzi na nasze zamówienia, były w większości niewymiarowe. Godzinami główkowano, jak je zgrać ze sobą, aby maszyna mogła ruszyć.

– Szczególnie uciążliwe były naprawy tlenówek (dmuchaw tlenu). Przy każdej wymianie łożysk i innych części należało urządzenie odkręcić i umyć w czterochlorku węgla, dawniej stosowanym powszechnie jako tani rozpuszczalnik. Opary tego związku w nadmiernych ilościach były niebezpieczne. Ale wtedy jakoś mniej myślało się o zdrowiu – wspomina R. Nowicki.

– Wirmiki, pokryw czy inne części myśliśmy na stojakach przy maszynie na hali. Po tej „toaletcie” laborantka pobierała z tych umytych części wymazy i sprawdzała je w laboratorium. Jeśli gdzieś znalazł się jakiś ślad tłuszczu, maszynę trzeba było myć ponownie, w przeciwnym razie urządzenie mogłoby się zapalić i zniszczyć, a do tego nikt nie chciał dopuścić.

Już na emeryturze będąc, odwiedził swój wydział dwukrotnie. Trudno nie zauważyć, że dzisiaj reguły produkcji mocno się zmieniły w porównaniu do wcześniejszego okresu, inaczej funkcjonują służby dozoru i bhp a także ochrona, która jest szczególnie rygorystyczna.

– Pamiętam czasy, kiedy szłam z elektroafinacji gromadzono pod chmurką w dużych foliowych workach. Potem Szopienice zabierały go do swojej huty. Odnosiło się wrażenie, że o ten szłam nikt specjalnie nie dbał. Aż gruchnęła wieść, że ktoś z huty, przy użyciu łyżki do pobierania próbek z pieca, wytapia z niego okrągłe „placki”. Nie było to oczywiście czyste srebro, ale „placki” te miały zbyt. Słyszałem, że szły do

Szczecina, a stamtąd do Niemiec. Kiedy wybuchła afera, szlam natychmiast został odgradzony i zabezpieczony tak, aby nikt postronny nie miał do niego dostępu. Czasem przychodzi mi na myśl, że może ta afera i w jej następstwie działania zabezpieczające szlam, miały wpływ

ka Anna z rodziną wyjechała do Anglii, a Barbara jest żoną górnika.

– Wszystko się ułożyło, ale życie na emeryturze nie ma takiego rozmachu, nasilają się problemy ze zdrowiem, no i liczyć się trzeba z groszem – zauważa Nowicki. – A gdyby można



Rudolf Nowicki w Śnieżnych Kotłach (2000 r. wyjazd z huty)

na przyspieszenie powstania Wydziału Metali Szlachetnych – snuje półzartowbliwie.

■ Śladem ojca

W domowych szufladach przechowuje zdjęcia z firmowych wycieczek i rajdów organizowanych przez zakładowy oddział Klubu Turystyki Pieszej i Górskiej „Mrówka”.

Dzięki tym wyjazdom nie tylko poznał wzdłuż i wszerz Sudety, ale również zobaczył trochę świata.

W albumach są również bardziej osobiste fotografie z żoną i piątką dzieci. Nie ukrywa dumy ze swojej gromadki. Dwaj synowie poszli w ślady ojca i zatrudnili się w hucie. Krzysztof pracuje na Wydziale Elektrorefinacji, Wiesław w Służbie Utrzymania Ruchu, a trzeci August wyspecjalizował się w cięciu i wierceniu w betonie i żelbetonie. Założył własną firmę, która wielokrotnie wykonywała dla huty usługi. Cór-

cofnąć czas i jeszcze raz wybierać? Na pewno bym wybrał tę samą kobietę za małżonkę. Na pewno bym się więcej uczył, zdobyłbym lepszy zawód. Kiedy miałem 14 - 15 lat, zbierałem pismo „Skrzydlatą Polskę”, ścigałem różne publikacje o wyczynach naszych pilotów. W skrytości marzyłem o szkole lotniczej w Dęblinie, ale życie napisało mi inny scenariusz, z hutą miedzi w tle. ■

**W miarę możliwości i siły,
trzeba było ludziom sprzy-
jać. Czasem prowadziło to do
absurdalnych sytuacji. Nieraz
wrywał mnie w nocy ze snu
dzwonek i głos w słuchawce:
Panie dyrektorze, dlaczego ta
zupa jest zimna?!**

*Czesław Gmitruk,
dyrektor pracow-
niczy Huty Miedzi
Głogów.
Pracował w latach
1974–1982*



Uwierzyłem jednemu z filozofów

Czesław Gmitruk trafił do głogowskiej huty w 1974 roku za namową kolegi Jana Bisztygi, ówczesnego zastępcy dyrektora ds. ekonomicznych.

Obowiązki szefa do spraw pracowniczych rozpoczął od rekonesansu po hucie. Do dzisiaj pamięta pierwszą wizytę na wydziale metalurgicznym, po którym oprowadzał go kierownik Wojciech Cis.

– W hucie „gazowało” solidnie. W. Cis przeciągnął mnie nad konwertorami i piecem szymbowym aż do miejsca, gdzie schodzi koncentrat. Wtedy pierwszy raz mocno poczułem smak hutniczej pracy i towarzyszących jej uciążliwości. Interesował mnie stan szatni, łazni oraz wydziałowych jadalni. Zauważyłem, że stołówka na wydziale metalurgicznym (wówczas każdy wydział miał swoją) wymagała przebudowy i powiększenia – nawiązuje Czesław Gmitruk do swoich pierwszych, pamiętnych wrażeń związanych z zaplaczem socjalnym huty.

Pierwszy rok pracy w hucie utkwiał mu w pamięci również z powodu innego, szczególnie traumatycznego zdarzenia – zaważenia się dachu nad halą pieców szymbowych. Stumetrowa

konstrukcja stalowa hali o ponad 20-metrowej szerokości została zniszczona. Spod gruzów wydobyto 16 osób, dziesięć z nich poniosło śmierć. W większości ofiarami byli ludzie z firm podwykonawczych, a trójka to pracownicy huty.

– Zawiadamy żon i matek, że ich syn, mąż zginął, było – jak wspomina – najtrudniejsze, ale ktoś to musiał jednak zrobić. Pamiętam, że do rodziny jednego z tych pracowników jechałem aż w Zielonogórskie. Do moich obowiązków należał również kontakt z pracownikami przewlekle chorymi, jak również ciężko poszkodowanymi w wypadkach. Często po pracy odwiedzałem ich w szpitalu. Jeszcze dzisiaj spotykam jednego z poturbowanych, miał bardzo mocno pogru-chotane kości miednicy.

■ Dorabiano się „własnej” kadry

Potrzeba rąk do pracy w latach 70. i 80. była wielka. Pamięta taki moment, że za zwerbowanie człowieka do pracy w hucie płacono po 100 czy nawet 150 zł. Zwerbowani z różnych stron Polski, w tym z Bieszczad, w dużej mierze byli ludźmi o niskiej wiedzy technicznej, po szkołach

zawodowych, rolniczych albo podstawowych. Owszem wysyłano ich na 3 miesięczne kursy do Legnicy i po ich ukończeniu byli piecowymi. Niestety, dla wielu była to pierwsza praca w życiu, dlatego w tamtych czasach zdarzało się, że zadania, które w normalnych warunkach wykonywała dwójka pracowników, robiono w czwórkę, a nawet w piątkę.

– Braki w wiedzy i doświadczeniu niwelowano na różne sposoby: poprzez zatrudnianie doświadczonych fachowców, jak również do kształcanie i kształcenie w Zasadniczej Szkole Zawodowej Huty Miedzi Głogów, a potem w Zespole Szkół Hutniczych KGHM – opowiadał pan Gmitruk. Absolwenci tych szkół byli zaczynem własnej średniej kadry. Podobnie działo się wśród kadry zarządzającej. Pierwsi dyrektorzy przyszli z zewnątrz, ale po pewnym czasie „dorobiliśmy się” swoich dyrektorów. Z Wydziału Przygotowania Wsadu dyrektorem został Seweryn Pluciński, Staszek Kot, Jerzy Dobrzański. Z Wydziału Metalurgicznego wywodził się Adam Matysiak, a także Wojciech Cis. Wielu z nich uzupełniało studia, które w połączeniu z doświadczeniem czyniły z nich bardzo dobrych menadżerów.

■ Nie tylko własne „M”

W tamtych czasach do najprzyjemniejszych obowiązków dyrektora pracowniczego należał rozdział mieszkań, które KGHM kupował w spółdzielniach, a potem dzielił na poszczególne zakłady. Huta miała mieszkań stosunkowo dużo. Pracownicy otrzymywali je najszybciej po 3 miesiącach od zatrudnienia albo po 6 miesiącach. Głogów, który w 1960 r. liczył 8817 mieszkańców, w 1970 r. miał ich ponad 20 tys., a w 1980 r. już 50 tys. Rosły w szalonym tempie duże dzielnice m.in. „Hutnik”, „Śloneczne”, „Kopernik”, a zatrudnienie w hucie sięgało 5 tys. osób.

W sezonie letnim dużo czasu zajmowało dyr. Gmitrukowi organizowanie wczasów dla pracowników i kolonii dla ich dzieci.

– Obiektów wczasowych własnych jeszcze nie mieliśmy, ale wspólnie z Hutmenem Wrocław budowaliśmy ośrodek w Dąbkach. Pamiętam nawet, że przyjąłem do pracy w hucie ludzi z Głogowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego tylko po to, żeby ich wysłać do Dąbek, bo tam trzeba było w ośrodku pilnie kłaść glazurę. Zależało nam bardzo, by rozwijać bazę wypoczyn-

kową – wspomina były dyrektor. – Później powstał ośrodek w Lubiawie. Budowę miała wykonywać brygada saperów z głogowskiej Jednostki Wojskowej. Ostatnim ośrodkiem wypoczynkowym huty, który powstał najbliżej Głogowa, była „Leśna Dolina”, pełniąca teraz funkcję ośrodka szkoleniowo – konferencyjnego KGHM.

Szczególną formą wypoczynku, organizowaną wspólnie z kierownikiem przyzakładowej przychodni, były turnusy półsanatoryjne. Pomysł powstał z myślą o pracownikach najcięższych wydziałów: metalurgicznego i wydziału ołowiu. Polegał na tym, że pracownicy po szybcie zamiast do domu, przez 2-3 tygodnie dowożeni byli zakładowymi autobusami do ośrodka w Lubiawie. Huta zapewniała im tam wyżywienie i noclegi, a oni, oprócz rekreacji ćwiczyli pod fachowym okiem lekarza i rehabilitantów – wspomina Cz. Gmitruk. – Zależało nam też, by poza częścią zdrowotną przekazywać ludziom wiedzę o hucie. Odbывały się więc spotkania z różnymi specjalistami. Chodziło o to, by szeregowi pracownicy wiedzieli o hucie coś więcej, niż to, co wiązało się tylko z ich miejscem pracy – opowiadał. Wspominał też z zadowoleniem pewną szczególną wymianę wczasów pracownicznych. Chodziło o to, że pracownicy z Przedsiębiorstwa Texten Trutnow w Czechach wypoczywali w Lubiawie, a hutnicy odpoczywali w ich górskich ośrodkach. Pomysł był trafiony i chętnych na tę wymianę było zawsze sporo.

■ Ludzki dyrektor

Wtorki były dniem przyjęć dla załogi. Ludzi było zawsze pełno. Przychodzili z przeróżnymi sprawami, od najważniejszych dotyczących zatrudnienia, mieszkania, po codzienne, związane z problemami między pracownikiem a przełożonym czy pracownikiem administracji. Dyrektor był niezastąpionym mediatorem.

Rudolf Nowicki, emerytowany ślusarz-spawacz uważa, że Cz. Gmitruk już się hucie nie powtórzy. Mówi: „Był ludzkim dyrektorem. Nie robił różnicy między robotnikiem i inżynierem”. Przypomina sobie, że któregoś dnia, w czasach niedoboru rynkowego, zgłosił się do dyrektora Gmitruka pracownik, który bardzo chciał sprawić swojej narzeczonej niespodziankę. Wymyślił sobie, że będzie nią radiomagnetofon. Prosił dyrektora, by mu pomógł w kupnie aparatu. I nie zawiódł się. Dyrektor uruchomił

zawodowych, rolniczych albo podstawowych. Owszem wysyłano ich na 3 miesięczne kursy do Legnicy i po ich ukończeniu byli piecowymi. Niestety, dla wielu była to pierwsza praca w życiu, dlatego w tamtych czasach zdarzało się, że zadania, które w normalnych warunkach wykonywała dwójka pracowników, robiono w czwórkę, a nawet w piątkę.

– Braki w wiedzy i doświadczeniu niwelowano na różne sposoby: poprzez zatrudnianie doświadczonych fachowców, jak również doszkąlanie i kształcenie w Zasadniczej Szkole Zawodowej Huty Miedzi Głogów, a potem w Zespole Szkół Hutniczych KGHM – opowiadał pan Gmitruk. Absolwenci tych szkół byli zaczynem własnej średniej kadry. Podobnie działo się wśród kadry zarządzającej. Pierwsi dyrektorzy przyszli z zewnątrz, ale po pewnym czasie „dorobiliśmy się” swoich dyrektorów. Z Wydziału Przygotowania Wsadu dyrektorem został Seweryn Pluciński, Staszek Kot, Jerzy Dobrzański. Z Wydziału Metalurgicznego wywodził się Adam Matysiak, a także Wojciech Cis. Wielu z nich uzupełniało studia, które w połączeniu z doświadczeniem czyniły z nich bardzo dobrych menadżerów.

■ Nie tylko własne „M”

W tamtych czasach do najprzyjemniejszych obowiązków dyrektora pracowniczego należał rozdział mieszkań, które KGHM kupował w spółdzielniach, a potem dzielił na poszczególne zakłady. Huta miała mieszkań stosunkowo dużo. Pracownicy otrzymywali je najszybciej po 3 miesiącach od zatrudnienia albo po 6 miesiącach. Głogów, który w 1960 r. liczył 8817 mieszkańców, w 1970 r. miał ich ponad 20 tys., a w 1980 r. już 50 tys. Rosły w szalonym tempie duże dzielnice m.in. „Hutnik”, „Słoneczne”, „Kopernik”, a zatrudnienie w hucie sięgało 5 tys. osób.

W sezonie letnim dużo czasu zajmowało dyr. Gmitrukowi organizowanie wczasów dla pracowników i kolonii dla ich dzieci.

– Obiektów wczasowych własnych jeszcze nie mieliśmy, ale wspólnie z Hutmenem Wrocław budowaliśmy ośrodek w Dąbkach. Pamiętam nawet, że przyjąłem do pracy w hucie ludzi z Głogowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego tylko po to, żeby ich wysłać do Dąbek, bo tam trzeba było w ośrodku pilnie kłaść glazurę. Zależało nam bardzo, by rozwijać bazę wypoczyn-

kową – wspomina były dyrektor. – Później powstawał ośrodek w Lubiatowie. Budowę mola wykonywała brygada saperów z głogowskiej Jednostki Wojskowej. Ostatnim ośrodkiem wypoczynkowym huty, który powstał najbliżej Głogowa, była „Leśna Dolina”, pełniąca teraz funkcję ośrodka szkoleniowo – konferencyjnego KGHM.

Szczególną formą wypoczynku, organizowaną wspólnie z kierownikiem przyzakładowej przychodni, były turnusy półsanatoryjne. Pomysł powstał z myślą o pracownikach najcięższych wydziałów: metalurgicznego i wydziału ołowiu. Polegał na tym, że pracownicy po szybie zamiast do domu, przez 2-3 tygodnie dowożeni byli zakładowymi autobusami do ośrodka w Lubiatowie. Huta zapewniała im tam wyżywienie i noclegi, a oni, oprócz rekreacji ćwiczyli pod fachowym okiem lekarza i rehabilitantów – wspomina Cz. Gmitruk. – Zależało nam też, by poza częścią zdrowotną przekazywać ludziom wiedzę o hucie. Odbywały się więc spotkania z różnymi specjalistami. Chodziło o to, by szeregowi pracownicy wiedzieli o hucie coś więcej, niż to, co wiązało się tylko z ich miejscem pracy – opowiadał. Wspominał też z zadowoleniem pewną szczególną wymianę czasów pracowniczych. Chodziło o to, że pracownicy z Przedsiębiorstwa Texlen Trutnow w Czechach wypoczywali w Lubiatowie, a hutnicy odpoczywali w ich górskich ośrodkach. Pomysł był trafiony i chętnych na tę wymianę było zawsze sporo.

■ Ludzki dyrektor

Wtorki były dniem przyjęć dla załogi. Ludzi było zawsze pełno. Przychodzili z przeróżnymi sprawami, od najważniejszych dotyczących zatrudnienia, mieszkania, po codzienne, związane z problemami między pracownikiem a przełożonym czy pracownikiem administracji. Dyrektor był niezastąpionym mediatorem.

Rudolf Nowicki, emerytowany ślusarz-spawacz uważa, że Cz. Gmitruk już się hucie nie powtórzy. Mówi: „Był ludzkim dyrektorem. Nie robił różnicy między robotnikiem i inżynierem”. Przypomina sobie, że któregoś dnia, w czasach niedoboru rynkowego, zgłosił się do dyrektora Gmitruka pracownik, który bardzo chciał sprawić swojej narzeczonej niespodziankę. Wymyślił sobie, że będzie nią radiomagnetofon. Prosił dyrektora, by mu pomógł w kupnie aparatu. I nie zawiódł się. Dyrektor uruchomił

kontakty z firmą handlową w Zielonej Górze i narzeczona otrzymała prezent.

– W miarę możliwości i siły, trzeba było ludziom przyjaść. Czasem prowadziło to do absurdalnych sytuacji. Nieraz wyrwał mnie w nocy ze snu dzwonek i głos w słuchawce: Panie dyrektorze, dlaczego ta zupa jest zimna?! No cóż, w końcu posiłki regeneracyjne były w zakresie moich kompetencji. Ale mówiąc poważnie, uwierzyłem jednemu z filozofów który rzekł: „Jeżeli możesz uczynić coś dobrego drugiemu człowiekowi, to warto żyć.” Ja się tego trzymam i wciąż trzymam – podkreśla Cz. Gmitruk.

Koniec pracy zawodowej przypadał na okres tworzenia strefy ochronnej i wykupu przez hutę gospodarstw w Bogomicach, Kapocinie, Żukowicach i Biechowie. Pamięta marszrutę komisji od gospodarza do gospodarza i trudne rozmowy związane z wyceną majątków, a potem inwentaryzacje budynków. Później jeszcze gospodarstwa obchodził rzeczoznawca, by na koniec wspólnie ustalić przewidywaną na ten wykup kwotę.

– Kto chciał, otrzymywał za swój majątek pieniądze albo też dostawał mieszkanie w głogowskich blokach. Ale też jeździliśmy po okolicach dalekich, gdzie dobra ziemia, np. w Opolskie, by ewentualnie tam ludzie mogli kupić sobie gospodarstwa. Kiedyś po latach odwiedziłem tam jednego gospodarza z Bogomic. Zaaklimatyzował się, a nawet rozwinął działalność techniczną, wykonywał ogrodzenia i bramy – wspomina Cz. Gmitruk.

■ Z niejednego pieca...

Życie nauczyło go, że dyrektorem się bywa, a człowiekiem się jest. Urodził się w wielodzietnej rodzinie rolników spod Tomaszowa Lubelskiego. Kiedy wybuchła wojna, 1 września poszedł do pierwszej klasy. Uczył się przez całą okupację wbrew sytuacji w kraju i w domu.

– W naszym domu była bieda. Do pierwszej komunii szedłem w butach pożyczonych od sąsiadki. Pamiętam też, że kiedy mama piekła ciasto, to zawsze kawałek nosiłem naszemu nauczycielowi. Była wojna, a on uczył nas za darmo i najwidoczniej też mu się nie przelewało – przywołuje obrazy z dzieciństwa.

Zawsze dużą wagę przywiązywał do nauki. Po wojnie trafił do Szczecina, a potem do Warszawy, gdzie związał się z ruchem młodzieży socjalistycznej. Po ukończeniu Wydziału Ekonomiki Przemysłu w Wyższej Szkole Nauk Spo-

łecznych skierowano go z powodu choroby płuc do pracy w Kowarach, gdyż tamtejszy klimat miał koić zdrowotne przypadłości.

– To był mój pierwszy kontakt z Dolnym Śląskiem. – Po paru latach przeniósłem się z Kowar do Jeleniej Góry, a potem do Legnicy. Dostałem pracę w Legmecie. Przez parę lat byłem kierownikiem działu organizacji pracy i produkcji. Potem kolega Bisztyga namówił mnie na hutę Głogów, w której przepracowałem 8 lat – podsumowuje okres swojej aktywności zawodowej. Obecnie Gmitruk przekroczył 80 rok życia. Wciąż szczupły, wyprostowany, błyskotliwy w języku, z dystansem mówi o swoich sprawach. Twierdzi, że specjalnie powodów do zachwyty nad obecnym życiem nie ma. Odkąd 7 lat temu zmarła mu małżonka, czuje się samotny. Pociesza go jednak to, że jest wciąż samodzielny i samowystarczalny w różnych czynnościach domowych. Dwaj synowie żyją swoimi sprawami. Jeden wprowadził go w pobliżu domu, ale często jest nieobecny, jako kapitan marynarki wypływa pod obcą banderą na dalekie rejsy. Drugi z synów osiadł na gospodarstwie niedaleko Głogowa.

Pan Gmitruk lubi kontakty z ludźmi. Kiedy spaceruje ulicami Głogowa, sporo osób go pozdrowia. Odkłania się, choć niektórych twarzy nie pamięta.

– To nie są jeszcze luki w szarych komórkach – zastrzega. – Przez lata chodziłem po hucie i poznawałem załogę. W okresie szczytowym, a było to przed odejściem na emeryturę, huta zatrudniała ponad 5 tysięcy pracowników. Po prostu, wszystkich nie sposób spaścić.

Wciąż z ochotą przyjmuje zaproszenia na doroczne hutnicze karczmy i większe uroczystości zakładowe. Lubi tam być, by zasięgać nowych informacji o hucie i przede wszystkim, aby spotkać kolegów i znajomych. ■

- **Bolesław** – szyb L-III Zakładów Górniczych Lubin, który 26 kwietnia 1964 r. otrzymał imię dla upamiętnienia naczelnego inżyniera Przedsiębiorstwa Budowy Kopalni Bolesława Szukowskiego.
- **chodnik** – w górnictwie podziemnym wyrobisko korytarzowe prowadzone poziomo lub prawie poziomo (do 5° nachylenia), niemające bezpośredniego wyjścia na powierzchnię ziemi. Drażony jest w złożu i daje urobek będący kopalnią użyteczną.
- **diagonała** – wyrobisko podziemne drażone w kierunku pośrednim między rozciągłością a nachyleniem pokładu.
- **Konrad w Iwinach** – zakłady górnicze zlokalizowane były na złożu synkliny grodzieckiej, na południowy wschód od Bolesławca. W ramach działalności produkcyjnej wydzielono trzy rejonów eksploatacyjne kopalni: „Konrad”, „Upadłowa Grodziec” i „Lubichów”. Zakłady prowadziły eksploatację górnica za pomocą dwóch poniemieckich szybów K-I i K-II, oddległych od siebie około 1,6 km. Centralną rolę w wydobyciu rudy miedzi spełniał szyb K-I o głębokości 550 m. Pierwsze próby odwodnienia zatopionej kopalni w 1948 roku zakończyły się niepowodzeniem. Dopiero po pogłębieniu szybu K-I do głębokości 240 m, po ponad rocznych zmaganiach, udało się w czerwcu 1953 roku uruchomić kopalnię. Równocześnie od 1952 roku prowadzono budowę nowego Zakładu Wzbogacania Rud, którą zakończono dziesięć lat później ze zdolnością przerobową 1.800.000 ton rocznie. Maksymalną zdolność wydobywczą kopalnia osiągnęła w 1976 r. wydobywając w skali roku 1.437.540 ton rudy. Zakończenie eksploatacji nastąpiło w ostatnich dniach grudnia 1989 r. W okresie eksploatacji wydobyto tu łącznie 37.914.702 tony rudy o zawartości 0,78% Cu w rudzie, tj. 269.226 ton miedzi. W historii „Konrada” odnotować należy największą katastrofę w dziejach Polskiej Miedzi – pęknięcie grobli stawu osadowego w Iwinach w dniu 13 grudnia 1967 r.
- **Lena w Wilkowie** – kopalnia zlokalizowana w synklinie złotoryjskiej na południowy wschód od Złotoryi. Eksploatowany obszar górniczy „Leszczyna” udostępniony był szybem czteroklatkowym o głębokości 210 m. Właśnie w „Lenie”, gdzie dopływ wody z górotworu był stosunkowo niewielki, najwcześniej, bo już w 1948 roku, rozpoczęto prace nad odwodnieniem i uruchomieniem po II wojnie światowej kopalni. Równocześnie z odwadnianiem prowadzono odbudowę zakładu przeróbki mechanicznej. W czerwcu 1950 r. podjęto próbne wydobycie, a miesiąc później prowadzono regularną eksploatację i przeróbkę rud miedzi. Przez cały powojenny okres działalności wydobywczą, którą zakończono 31 grudnia 1973 r. z powodu wyczerpania złóż, w kopalni „Lena” wydobyto 14.468.129 ton rudy o średniej zawartości 0,55 % czystej miedzi, co daje 76.529 ton Cu. Największe roczne wydobycie kopalni osiągnęła w 1965 r. w ilości 724.398 ton rudy.
- **Lubichów** – kopalnia, która w latach 1956-1959 działała jako samodzielna jednostka górnicza. Do prac odwodnieniowych w poniemieckiej kopalni Liebhau-Grube przystąpiono w 1951 r., ale do roku 1955 było one mało skuteczne. Ostatecznie prace te zakończono w 1957 r. W 1960 r. kopalnię włączono do ZG Konrad, jednak dopiero w 1962 roku rozpoczęto eksploatację złożeń, które udostępniono dwoma nowo zgłębnionymi, w latach 1958 – 1961, szybami L-III i L-IV. Eksploatację rud miedzi w kopalni zakończono w 1976 roku, wydobywając około 2.000.000 ton rudy o średniej zawartości 1,06 % Cu. W latach 1976 – 1981 zlikwidowano szyby L-III i L-IV, a w dwóch pozostałych, na poziomie 213 m, rozpoczęto eksploatację anhydrytu i gipsu.
- **Nowy Kościół** – kopalnia zlokalizowana została na obszarze synkliny złotoryjskiej na południe od Złotoryi. W latach 1954 – 1967 wydobyto łącznie 4.025.647 ton rudy o zawartości 0,51% Cu, co stanowi 20.690 ton miedzi w rudzie. Największe roczne wydobycie osiągnięto w 1965 r., w ilości 416.780 ton rudy. Mimo tego, że kopalnia posiadała przygotowany front eksploatacyjny, z końcem 1967 r. zakończono działalność eksploatacyjną, a w roku 1968 działalność zakładu. Na podjęcie tej decyzji wpłynęły dwie okoliczności: awaria stawu osadowego w Iwinach i niemożliwość przerabiania rudy miedzi z kopalni oraz rozpoczęcie w lipcu 1968 r. eksploatacji rudy miedzi w kopalniach „Lubin” i „Polkowice”.
- **obwał** – opad skał stropowych do wyrobiska, nie powodujący jednak jego niedrożności.
- **ocios, zrąb** – boczna ściana wyrobiska górniczego w skale płonnej lub w kopalinie użytkowej.
- **pochylnia** – nachylone pod kątem do 45° wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki, drażone od dołu do góry, z transportem realizowanym z poziomu górnego na dół.
- **pokład** – złoże mające formę warstwy, zalegające na dużej przestrzeni i ograniczone dwiema mniej więcej równoległymi warstwami (górną to strop, dolną to spąg). Pokłady są charakterystyczne dla skał osadowych.
- **przodek** – część wyrobiska, aktywny koniec wyrobiska korytarzowego (chodnika). W przodku bądź w jego bezpośrednim sąsiedztwie mają miejsce wszystkie prace związane z drążeniem wyrobiska. Zasadniczymi czynnościami są tu: urabianie skały, jej odstawa oraz postawienie obudowy w wydrążonym fragmencie wyrobiska. Urabianie skał może odbywać się w sposób mechaniczny, przy użyciu kombajnów chodnikowych, bądź z wykorzystaniem materiałów wybuchowych (np. dynamit, karbonit, barbaryt, metanit).
- **przodowy pola** – nazwa stanowiska górniczego. Jego praca polega na skontrolowaniu przodków po strzelaniu i przygotowaniu ich do wiercenia.

• **rzapie** – najniższa część szybu usytuowana poniżej ostatniego poziomu wydobywczego w kopalni. Jest to nieeksploatowana część szybu, której zadaniem jest zbieranie ściekającej po ścianach wody. Zbierana woda jest następnie odsysana za pomocą pomp odwadniających.

• **Samodzielny Oddział** Wykonawstwa Inwestycji (SOWI) – utworzony na podstawie zarządzenia Dyrektora Naczelnego KGHM z 17 maja 1966 r. (nazwę zakładu zmieniono na podstawie zarządzenia Dyrektora Naczelnego KGHM z 19 grudnia 1974 r. na Zakład Robót Górniczych);

• **spąg** – dolna powierzchnia warstwy skalnej (spąg warstwy), pokładu (spąg pokładu) lub wyrobiska (spąg wyrobiska).

• **sztolnia** – wyrobisko korytarzowe, o małym przekroju poprzecznym, drążone w górotworze ze zbocza góry, poziomo lub pod niewielkim wzniosem w głąb góry do złóż kopaliny użytecznej.

• **szyb** – wyrobisko górnicze pionowe lub pochyle o nachyleniu powyżej 45° o przekroju poprzecznym powyżej 4 m kw. i znacznej głębokości, prowadzące z powierzchni terenu do położonego w głębi ziemi złoża kopaliny użytecznej, lub łączące wyrobiska poziome pod ziemią i nie mające ujścia na powierzchnię (szyb ślepy). Służą do udostępnienia złoża oraz są głównymi wyrobiskami komunikacyjnymi i wentylacyjnymi kopalni. Nad szybem na powierzchni terenu znajduje się wieża szybowa, nad wylotem szybu położone jest nadszypie. Na kolejnych poziomach kopalni bezpośrednio do szybu przylegają podszypia.

• **szybik** – wyrobisko pionowe o przekroju od 4 m kw. do 15 m kw. i głębokości do 200 m.

• **stare Zagłębie Miedziowe** – obszar w rejonie Bolesławca i Złotoryi, na którym wydobywano rudę miedzi w kopalniach wchodzących w skład założonego w Rzeszy Niemieckiej Górniczo-Hutniczego Towarzystwa Akcyjnego, nazywanego w skrócie BUHAG, z siedzibą we Wrocławiu (Mittlau-Grube – kopalnia K-I, „Iwiny”, Muhlberg-Grube bei Alzenau – kopalnia K-II koło Olszanicy, Liebhau-Grube – kopalnia Lubichów, stanowiąca początki późniejszych Zakładów Górniczych Konrad, Wahlstadt-Grube bei Haasel, będącą w okresie powojennym samodzielną jednostką górniczą jako Zakłady Górnicze Lena) oraz kopalniach polskich, przed powstaniem Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego. Już w 1936 r. w okolicach Leszczyny rozpoczęto budowę kopalni „Lena”, połączonej z powierzchnią szybem wydobywczym oraz kilkoma pochylinami. Pierwsze roboty górnicze koło Olszyny podjęto przy głębinu szybu K-II w listopadzie 1938 r., kończąc głębinie 19 grudnia 1940 r. na głębokości 211 m. W 1944 r. przystąpiono do wstępnej eksploatacji rudy miedzi na poziomie 156 m. Szyb K-I zglębiono w 1945 r. do głębokości 133 m. W obliczu szybko zbliżającego się frontu wojennego

na przełomie 1944/45 roku w kopalniach przerwano wszelkie roboty górnicze. Część maszyn i urządzeń wywieziono w głąb Rzeszy, szyby zostały zatopione, a reszta infrastruktury przemysłowej uległa dewastacji. Po przejęciu przedsiębiorstw z rąk wojsk radzieckich, władze polskie decyzją z 1 stycznia 1950 r. powołały do życia Zakłady Górnicze Lena w Wilkowie koło Złotoryi i Zakłady Górnicze Konrad w Iwinach koło Bolesławca. Równolegle z robotami górniczymi prowadzonymi w przejętych kopalniach, w rejonie Złotoryi prowadzono także wiercenia rozpoznawcze. Wyniki tych badań zadecydowały o rozbudowie kopalni „Lena” oraz wybudowaniu od podstaw w latach 1950 – 1954 pierwszej „polskiej” na tym terenie kopalni „Nowy Kościół” w miejscowości o tej samej nazwie. Do czasu powstania LGOM, kopalnie Starego Zagłębia Miedziowego stanowiły podstawową bazę surowcową, pokrywającą od 15 do 20% rocznego zapotrzebowania kraju na miedź. Przez cały okres powojennej eksploatacji rudy miedzi wydobyto tu 56.408.478 ton rudy, z której uzyskano 853.954 tony miedzi w koncentracji.

• **szytgar** – nazwa stanowiska kierowniczego w górnictwie. Szytgar zajmuje się dozorem technicznym, a także częściowo administracyjnym pracy górników. Nazwy stanowisk: nadszytgar, szytgar objazdowy, szytgar oddziałowy, szytgar zmianowy

• **tąpnięcie** – jedno z zagrożeń naturalnych występujących w górnictwie, często błędnie utożsamiane z wstrząsem sejsmicznym pochodzenia górniczego. Tąpnięcie jest dynamicznym rozładowaniem energii potencjalnej sprężystości skał połączone z wyrzuceniem materiału skalnego do wyrobiska, lub zniszczeniem jego obudowy. Eksploatacja górnicza (czyli w przypadku górnictwa głębinowego drążenie korytarzy) narusza pierwotną równowagę górotworu. W pobliżu wyrobisk dochodzi do zwiększenia pierwotnych naprężeń, wynikających z ciężaru wyżej leżących warstw i w przypadku przekroczenia doraźnej wytrzymałości skały na ściskanie następuje zniszczenie jej struktury (czyli zgniecenie), które zapoczątkowuje bardzo gwałtownie przebiegający proces lawinowy kruszenia skał i rozładowywania nagromadzonej energii sprężystej. Przebieg tąpnięcia zbliżony jest do odpalenia w skałach nadmiernej ilości materiału wybuchowego.

• **upadowa** – wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, nachylone do 45°, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki – drążone po upadzie (od góry do dołu), z transportem realizowanym z poziomu dolnego na górny.

• **Upadowa Grodziec** – kopalnia, której budowę rozpoczęto w 1949 r. W wyniku reorganizacji przeprowadzonej w 1958 roku kopalnia została włączona do ZG Konrad. Największe wydobycie osiągnięto w 1961 r. w ilości 232.500 ton rudy, a eksploatację zakończono wiosną 1963 r. (48.900 ton rudy), uzyskując z tego rejonu eksploatacyjnego 1650 tys. ton rudy o średniej zawartości o,684% Cu.

Słowo wstępne	5
Dziesiątka z „Leny” – Tadeusz Czyżowski	7
Coś po sobie zostawić – Sławomir Brok	11
Szczęście bez pożegnań – Wiktor Trojański	14
Mistrz ceremonii – Stanisław Mikus	17
Chciałem być rybakiem – Józef Pastor	21
Kujawiak na miedzi – Edmund Ligocki	25
Mierniczy z Lubina – Jan Jurczenko	29
Kowal z „Bolesława” – Kazimierz Półtorak	34
Mój drugi dom – Janina, Grzegorz Rzeszy	37
Gdy adrenalina szła w górę – Włodzimierz Mięslowicz	42
Życia więcej niż na dwa mundury – Stanisław Małachowski	46
Zaczynała w medalikach – Arleta, Eugeniusz Włodarczakowie	50
Za bardzo podskakiwałem – Andrzej Burzyński	55
Z hutą miedzi w tle – Rudolf Nowicki	59
Uwierzyłem jednemu z filozofów – Czesław Gmitruk	63
Słownik terminów	67

Jednym z filarów Społecznej Odpowiedzialności Biznesu (CSR) w KGHM Polska Miedź S.A. jest działalność dobroczynna realizowana przez powołaną w 2003 roku Fundację Polska Miedź, która wspiera realizację projektów społecznie użytecznych oraz pomaga w leczeniu i rehabilitacji osób, które znalazły się w trudnej sytuacji finansowej spowodowanej chorobą.

Darowizny Fundacji Polska Miedź:

- umożliwiają doposażenie szpitali i placówek medycznych w nowoczesny sprzęt i aparaturę;
- pomagają chorym i niepełnosprawnym w zakupie leków, sprzętu rehabilitacyjnego i wyjazdach na turnusy rehabilitacyjne;
- trafiają do szkół, placówek oświatowych, pracowni edukacyjnych, bibliotek, świetlic środowiskowych;
- dają dzieciom szansę skorzystania z wyjazdów na kolonie, zielone szkoły;
- wspierają przedsięwzięcia popularyzujące sport i budowę bazy sportowo-rekreacyjnej;
- pomagają kultywować tradycję górniczo-hutniczą regionu;
- ratują obiekty zabytkowe;
- sprzyjają organizacji imprez kulturalno-artystycznych;
- wspierają zakup sprzętu ratowniczego;
- pomagają w likwidacji skutków klęsk żywiołowych.

Każdy może wesprzeć prospołeczną działalność Fundacji Polska Miedź - wystarczy w rocznym zeznaniu podatkowym wskazać ją jako odbiorcę 1% podatku, wpisując

numer KRS: 0000154740.

Dołącz do grona darczyńców!



**JEDEN PROCENT
NIEJEDEN UŚMIECH**



**Przekaż 1%
Fundacji Polska Miedź**

Fundacja Polska Miedź, jako organizacja
pożytku publicznego, pozyskuje środki z tytułu 1% podatku

numer KRS: 0000154740